Studencki Klub Górski http://www.skg.uw.edu.pl

biuletyn

Numer 32
35-lecie bazy
29 czerwca 2019

30 LAT BAZY NAMIOTOWEJ

„MADEJOWE ŁOZE” W PODWILKU NA ORAWIE

Słowo od redakcji

Drodzy Czytelnicy!

Niniejszym mamy wielką przyjemność złożyć na Wasze ręce 32. wydanie Biuletynu SKG – owoc pracy wielu nieocenionych klubowych osobistości, bez których ten numer by nie powstał. 30-lecie naszej kochanej bazy namiotowej w Podwilku stało się doskonałą okazją do sprawienia nam wszystkim klubowego prezentu, jakim są wydobyte z drzemiących pokładów pisarskiego talentu, poparte zacięciem i pasją, teksty i ilustracje naszych klubowiczów. Z pewnością każdy znajdzie tu coś dla siebie. Być może, wspominając dawne dzieje, komuś zakręci się łezka w oku. Ktoś inny wybuchnie gromkim śmiechem czytając o przygodach kursantów w XXI wieku. Niczym w kalejdoskopie przeplata się tu historia i współczesność. Życie bazowe, klubowe i kursowe miesza się z życiem prywatnym jak we śnie, tworząc nierozerwalny związek...

Ale jak mawia nasz szanowny Nadbazowy Paweł Staniszewski: „Świat się zmienia, a baza stoi dalej." Wbrew apokaliptycznym wizjom Michała Pluty, głoszącego, że „Klub umiera!" – trzymamy się całkiem nieźle i ten Biuletyn jest tego znamienitym dowodem! Dlatego z całego serca dziękujemy wszystim Autorom za Wasze zaangażowanie w jego powstanie.

Natomiast Wam - drodzy Klubowicze, Kursanci, Sympatycy SKG i Miłośnicy Bazy, życzymy przyjemnej lektury i zachęcamy do współuczestniczenia w wydaniu kolejnego numeru, który ukaże się już za rok!

Zespół redakcyjny w składzie:

- Ewelina Różańska - Redaktor Naczelna, korekta
- Grzegorz Bokota - skład

© http://www.skg.uw.edu.pl

Spis treści

Słowo od redakcji 2

Urodzinowo **4**
30 lat bazy namiotowej w Podwilku na Orawie 4

Z pamiętnika kursanta **4**
Pośród miliona ważnych spraw 4
Lodowi wojownicy karnawału, czyli Rajd Szarlotki 5
Gdyby buczyna Karpacka miała oczy 6
Relacja z Przejścia Wiosennego 38. Kursu Przewodników SKG 9

SKG na świecie **14**
Opowieść o GSB 14

Poradnik Wędrowca **17**
Logistyka Wczasów Krajowych i Zagranicznych cz. II: do Podwilka wróć 17
Przepisy kulinarne 19
Mirosław poleca 20
Podejściówka czy buty za kostkę? 21
Opcja na weekend 22

Kącik literacki **23**
Rzeczywistość alternatywna 23
Poezja górami podszyta 25

Jak to drzewiej bywało **26**
Dawno temu w błocie... 26
Krótki paszkwil nt.: Jedynie prawdziwa historia powstania bazy 26
Dziesięć lat na Madejowym Łożu 27
Na Orawie Wąż brzmi w trawie 28
20 lat minęło... 30
25 lat za nami... 30

© http://www.skg.uw.edu.pl

30 lat bazy namiotowej w Podwilku na Orawie

Paweł Staniszewski

Przypomniała mi się zabawna historia, o której usłyszałem kilkanaście lat temu. Wyobraźcie sobie oddział chirurgiczny w szpitalu. Trzech lekarzy szykuje się do operacji, wśród nich stremowany debiutant, pierwszy raz w towarzystwie tuzów medycyny. I oto jest świadkiem rozmowy dwóch starszych kolegów, zaczynającej się mniej więcej tak: "Wiesz? W przyszłym miesiącu we Wrocławiu będzie Nohavica!". Przerażony adept sztuki medycznej dopiero po dłuższej chwili zorientował się, że nie chodzi o jakąś straszliwą, egzotyczną jednostkę chorobową... Zresztą, czy aby na pewno? W końcu sam jestem ofiarą "choroby zwanej Nohavicą", jednej z tych dolegliwości, wobec których współczesna medycyna jest bezradna, ale nie o tym dzisiaj. Choroba, o której chcę parę słów napisać, dotknęła mnie w 1989 roku i przez kilka lat przebiegała właściwie bezobjawowo. Ot, niewinne, acz podstępnie postępujące uzależnienie... Wiele lat później miałem okazję spełnić jedno ze swoich podróżniczych marzeń i wylądowałem na Islandii. Raj na ziemi. Ale kiedy zachwycony fascynującym krajobrazem pokonywałem kolejne kilometry tego raju, przyłapałem się na tym, że oto liczę dni, które pozostały mi do rozpoczęcia kolejnego sezonu w Podwilku. Wtedy zorientowałem się, że mój stan jest bardzo poważny. Uświadomiwszy sobie ten fakt i pogodziwszy się z nieuchronnym, zrezygnowałem z leczenia.

30 lat to kawał czasu... Nie bójcie się, nie będę tu snuł wspomnień. Kto ciekaw, niech zajrzy do starszych biuletynów, gdzie co jakiś czas pojawiają się artykuły o Bazie i o ludziach z nią związanych (a zresztą, może Szanowna Redakcja zdecyduje się na ich reprint w tym specjalnym, "bazowym" numerze?...). Chciałbym tylko odnieść się do fenomenu chatkowo-bazowej atmosfery, właściwej takim miejscom... Tego, co Wojtek Bellon nazywał wspólnym bytowaniem, byciem razem, wspólnym śpiewaniem przy ognisku... Fenomenu, który współcześnie właściwie nie ma prawa przetrwać. Przecież ten szczególny sposób spędzania czasu, połączony z włóczęgą, zwykle górską, był właściwy okresowi słusznie minionemu, kiedy nie było możliwości organizowania egzotycznych wypraw, a wyjazd na Słowację wymagał trzech miesięcy przygotowań. Co prawda "Madejowe Łoże" pojawiło się na mapie kilka tygodni po tym, jak pani Joanna Szczepkowska ogłosiła w telewizji koniec komunizmu, ale jednak nie były to jeszcze czasy, kiedy decyzję o wyjeździe np. w Alpy można podjąć właściwie poprzedniego dnia...

To, że chatki i bazy namiotowe nadal istnieją, jest dla mnie nie do pojęcia. Okazuje się jednak, że są potrzebne, także temu pokoleniu, którego 30 lat temu nie było jeszcze w planach. To nic, że dla młodych to jest pewna egzotyka - jeśli wciąga, to znaczy że nadal ma to sens. Tego właśnie chciałbym życzyć naszej Bazie. Aby trwała tak długo, jak długo znajdą się ludzie, którzy szukają miejsc, gdzie można pogapić sie w ogień, pomilczeć lub pośpiewać. Piosenki Bellona, Jarosza, Sikorowskiego, Nohavicy... Bo przecież "dokud se zpívá - ještě se neumřelo". ■

Pośród miliona ważnych spraw

Joanna Gecow

„Los łaskawie zwykł mnie wieść
Drogą małych miejskich szczęść
Lecz zostawiam czasem milion ważnych spraw
Teraz ścieżka pośród traw
Wiedzie mnie w cudowny świat
Do przyjaciół, których z mapy dobrze znam (. . .)”

Z piosenki „Jak okiem sięgnąć” Zgórmysyny

Brzmi znajomo? Dla mnie aż za nadto. Pierwszy raz usłyszałam ten utwór 9 lat temu - wieczorem, czwartego dnia wędrówki Głównym Szlakiem Beskidzkim. Wraz z koleżanką, czekałyśmy aż zagotuje nam się wrzątek na herbatę. Była już właściwie noc, ławka przed schroniskiem w Markowych Szczawinach, wokół cisza, a na bezchmurnym niebie spadające gwiazdy. I ze słuchawek tekst tej piosenki. Tekst dla mnie w każdym słowie prawdziwy. Słuchałam,

© http://www.skg.uw.edu.pl

patrzyłam w niebo i niczego więcej nie trzeba mi było do szczęścia. Byłam w górach i realizowałam jedno ze swoich marzeń. Wtedy wiedziałam już bardzo dobrze, że góry są i będą nieodłącznym elementem mojego życia. Wiedziałam już, że tylko tutaj odnajduję taki spokój, jakiego mi potrzeba.

6 lat później, dzięki mojemu obecnemu mężowi - Marcinowi, rozpoczęłam swoją przygodę z Kursem Przewodnickim SKG. W głowie mnóstwo wątpliwości, czy to na pewno dla mnie? Czy prowadzenie ludzi po górach, to jest to? Bo to, że kocham w nich być, było jasne. Do tej pory milion ważnych spraw powodowało, że w kalendarzu raczej nie było miejsca na taki kurs, a w studenckim portfelu również funduszy. I pewnie mnóstwo innych jeszcze wątpliwości i wymówek przyczyniło się do tego, że myśl o kursie przez kilka lat oddalałam. Aż do 2016 roku. Niezbyt długa, acz skuteczna namowa Marcina, szybka rewizja terminów w kalendarzu, kalkulacja urlopu w pracy i . . . ? Ruszamy! Jeden tylko wolny weekend w październiku – w sam raz na manewry, 3 wolne weekendy listopad-grudzień – 3 kursówki zmieszczą się, liczba dni urlopowych w pracy – Zimówka i Wiosenne – jak najbardziej! Myślałam, że po moich różnych doświadczeniach mało będzie dla mnie na kursie rzeczy nowych. A jednak! Najzimniejsza noc pod namiotem, najdłuższa doba bez snu, najpyszniejsza owsianka z ogniska, najprzyjemniejsza kąpiel w rzece, najbardziej mokry posiłek podczas ogniska w wiosenną burzę, przepiękne widoki wschodów i zachodów słońca, najwięcej tras przez krzaki i młodniki, najwięcej odwiedzonych jarów, ludzie, którym pasji i fascynacji górami tłumaczyć nie trzeba, radość z prowadzenia grupy po kolejnych pipantach, rozkoszne ciepło zimowego ogniska, niezliczona ilość rozmów między prowadzeniami, najprzyjemniejsza cisza przed poranną pobudką i utwierdzenie w przekonaniu, że w górach naprawdę mogę spać krótko i funkcjonować na 100

W 30 rocznicę utworzenia Bazy namiotowej w Podwilku życzę wszystkim czytelnikom niniejszego Biuletynu, aby mieli w życiu taką przestrzeń i ludzi, dla których warto zostawić czasem milion ważnych spraw, spakować plecak i wyruszyć.

„(. . .)
Zabieram marzeń garść na drogę
Myśl o wolności i pogodę
Ducha, co wzrasta z każdym dniem

Bo tutaj w górach jest mój dom
Śpią marzenia, gwiazdy lśnią
Tu przestrzenią karmię serce
Żyć, co krok pragnę więcej!
(. . .)”

■

Lodowi wojownicy karnawału, czyli Rajd Szarlotki

Aleksandra Kołodziejczyk

Nad Karakorum dzień chylił się ku końcowi. Alex Txikon patrzył na zarysy gór zacierające się wraz z nadchodzącym zmierzchem. Jego towarzysze odpoczywali w cieple i powinien był już dawno do nich dołączyć, ale jakaś siła powstrzymywała go przed udaniem się na spoczynek. W bazie panował spokój, ale mimo ciszy zdawało mu się, że słyszy wiatr, ten sam, który zwiewał śnieg ze szczytu i jęczał wśród seraków oraz nawisów. Zastanawiał się, czy jego zimowa wyprawa na K2 podzieli los nieudanej polskiej ekspedycji sprzed roku. Zaklął po baskijsku i naciągnął czapkę głębiej na czoło. Był 23 lutego, a okno pogodowe nadal nie nadchodziło.

Na ulicy Padewskiej w Warszawie zapaliły się latarnie.

Wieczorem 23 lutego 2019 roku nikt z uczestników Karnawałówki SKG nie spodziewał się, że zostanie członkiem najważniejszej wyprawy tej zimy. Oczy całego górskiego świata zwrócone były w stronę Karakorum, wzrok przyciągały Himalaje, Andy i Alpy, ale przełomowe rzeczy miały w tym sezonie zdarzyć się w Tatrach Warszawskich. To małe pasmo zostało odkryte względnie niedawno i szybko zyskało sławę wśród wspinaczy, mimo to aż do tej nocy opierało się zimowym zdobywcom. Pogłoski mówiły o autochtonach, którzy rzekomo spenetrowali obszar tych gór o każdej z pór roku. Jednak brakuje dowodów na ich przejścia, a spożycie alkoholu, z jakiego słyną mieszkańcy Mokotowa, stawia ich wiarygodność pod znakiem zapytania.

Wyprawa, która miała miejsce podczas Karnawałówki SKG pod spontanicznym kierownictwem Eweliny Różańskiej, została na szczęście w pełni udokumentowana i nie ma najmniejszych wątpliwości odnośnie jej sukcesu. Poza sygnałem odebranym z nadajników oraz założonymi poręczówkami istnieje niezbity dowód na przebieg odbytej trasy w postaci okruchów szarlotki pozostawionych przez wspinaczy. Ze względu na nazwę wyprawy – Rajd Szarlotki - łatwo jest udowodnić, że rzeczone okruchy faktycznie należały do członków wyprawy i nie zostały pozostawione przypadkowo.

Śmiałkowie ruszyli nocą, wbrew zimnu, ciemnościom i nieznanemu. Wiatr huczał, śnieg zacinał, mgła mieszała się ze smogiem, a smog z chmurami. Zarówno nieba, jak i celu nie było widać. Wyprawa ruszyła pewnie, może nawet

zbyt pewnie jak na fakt braku uprawnień przewodnika na Tatry Warszawskie, brak mapy oraz brak trzeźwości. Jednak doświadczenie członków ekspedycji równoważyło te niedociągnięcia, bo - jak mówi stare ormiańskie przysłowie – kto bywał na Siwejce, temu nie odmarzną ręce.

Na wyprawę zabrane zostały dwa szampany i jedna szarlotka, a także butle z tlenem i niezbędne wyposażenie górskie, w większości pochodzące sprzed ery Gore-Texu, zgodnie z tematem zgrupowania rozpoczynającego wyprawę. Butle z tlenem ostatecznie nie zostały wykorzystane, ale zostały zabrane ze względu na obawy związane z panującym w Tatrach Warszawskim zjawiskiem smogu oraz w celu schłodzenia szampana. Z kronikarskiego obowiązku należy wspomnieć, że w wyprawie brał udział także jeden Szerpa.

Wyprawa stanęła na dziewiczym szczycie nad Morskim Okiem w Tatrach Warszawskich o godzinie 23.58 czasu warszawskiego. Noc była ciemna, widoczność była niewielka, warunki nie sprzyjały, ale na smaganym wiatrem wierzchołku zdobywcom wszystko zdawało się piękne, a szarlotka nigdy wcześniej nie była tak pyszna jak po sprawnym ataku szczytowym.

Mimo sukcesu w drodze powrotnej nie obyło się bez problemów. Odnotowano przypadki odwodnienia związane z zaginięciem jednego z szampanów, niektórzy uczestnicy mieli także halucynacje. Powtarza się relacja o tym, że w odludnym terenie widziano zabudowania, a nawet policję i straż miejską. Niektórzy członkowie wyprawy nie wrócili do obozu, odłączyli się od wyprawy uparcie powtarzając, że idą do domu i dziękują za imprezę, że ich autobus zaraz przyjedzie. Choć były to wyraźne objawy choroby wysokościowej, to kierownictwu wyprawy nie udało się zatrzymać chorych. Odeszli w nieznane, a o ich dalszych losach niewiele wiadomo, choć istnieją pogłoski, że tej samej nocy widziano ich jeszcze jak odkrywali kolejne szczyty w grani Tatr Warszawskich.

Mimo strat wśród członków wyprawy, odmrożeń i niewielkich uszczerbków na zdrowiu psychicznym wyprawa zakończyła się sukcesem. Szczyt został zdobyty, nowe pasmo spenetrowane, szarlotka zjedzona - gdy nad Tatrami Warszawskimi zaczynało wschodzić słońce, w bazie było co świętować.

W innym zakątku świata na wieść o polskich zdobywcach Denis Urubko uśmiechnął się szeroko. Zmiana obywatelstwa na polskie była dobrym wyborem. Od zeszłorocznej wyprawy na K2 już wiele razy toczył dyskusję na temat tego, kiedy w najwyższych górach kończy się zima. Kłócił się o to już chyba ze wszystkimi, od Moro po Messnera, a rozpoczęta z żoną dyskusja na ten temat skończyła się rozwodem. W końcu ktoś go zrozumiał. Ci młodzi ludzie z Polski przeprowadzili prawdziwą akcję górską w stylu alpejskim w warunkach zimowych tak jak trzeba, przed faktycznym końcem zimy. Nazywali się SKG. Urubko zaczął poważnie myśleć o członkostwie. ■

Gdyby buczyna Karpacka miała oczy

Kronika Przejścia Zimowego XXXV KPG (AD MMXVI)

Michał Wyroba

Dzień pierwszy 12 lutego (piątek)

Wszystko zaczęło się na terenie skąpanej sztucznym światłem hali Dworca Centralnego. Zbiórka wyznaczona była na godzinę 20:30 – 40 minut przed odjazdem pociągu TLK 13200 „Luna", który zawieść miał nas do dalekiego Grybowa. Godzina zbiórki zastała trzy punktualne osoby czekające w wyznaczonym miejscu. Liczba tych, którzy postanowili zamienić ciepło domowych pieleszy na chłód i zimno beskidzkich ostępów, była bowiem przeceniona. Z blisko dwudziestu kursantów ostała się raptem połowa. Szczególnie dynamiczna sytuacja była pod koniec, już po zakupie paczek żywnościowych. Ostatecznie udało się ustalić liczbę uczestników dopiero kwadrans przed odjazdem, a może i dopiero w pociągu. Pogłowie zimówkowiczów liczyło wtedy dziesięć sztuk, a ciało instruktorskie składało się z trzech osób. Wieczór minął pod znakiem dopakowywania nadmiaru żywności do plecaków (dary od rezygnujących w ostatniej chwili kursantów), jak również wnikliwego czytania map. W końcu jednak jednostajne dudnienie pociągu utuliło wszystkich (a przynajmniej mnie) do snu.

Dzień drugi 13 lutego (sobota)

Po dojeździe do Grybowa nastąpiło bardzo sprawne przemieszczenie się wynajętym minibusem do Brunar. Tam o godzinie 6:15 powitała nas względnie zimowa aura z niewielkim opadem śniegu i nieznacznym mrozem. „Nareszcie w Beskidach!" – pomyśleli zapewne wszyscy uczestnicy, gdyż w górach, inaczej niż w mieście, człowiek nie gnuśnieje. Jako że było za wcześnie na zwiedzanie cerkwi, udaliśmy się na pobliską polankę by rozpalić ognisko, posilić się i porozdzielać nierozdzielone jeszcze do końca dodatkowe jedzenie do noszenia. I tu od razu padł rekord XXXV KPG w szybkości posiłku z ogniskiem. Pod przewodnictwem Ani udało się zejść poniżej magicznej granicy dwóch godzin. Następnie udaliśmy się do docenionej przez UNESCO brunarskiej cerkwi. Tam, zobaczywszy już ikonostas oraz wnętrze nawy i prezbiterium, udaliśmy się po drabinie na niedostępną zwykle do zwiedzania wieżę babińca. Następnie postanowiliśmy pożegnać się z cywilizacją, założyliśmy plecaki, przekroczyliśmy mostkiem Białą i udaliśmy się na zachód na Kiczerę Wielką (694 m n.p.m.) – nie ostatnia to miała być kiczera na tym wyjeździe. Przed szczytem napotkaliśmy ślady rysich łap na śniegu. Z Kiczery Wielkiej udaliśmy się na południe przez Sołtysi Wierch (607 m n.p.m.) i Chłopski Wierch (660 m n.p.m.) na Wierch (636 m n.p.m.), a następnie w dół do Czyrnej. Tam też dopadliśmy księdza proboszcza, który akurat w damskiej eskorcie wychodził ze swojego samochodu. Chcieliśmy by wpuścił nas do środka czyrnańskiej cerkwi. Duchowny jednak okazał się nieprzejednany i nie udostępnił nam kluczy do świątyni. Tak też cerkiew pw. św. Paraskewy obroniła się przed najazdem XXXV KPG. Gwoli sprawiedliwości wypada wspomnieć, że kapłan na pocieszenie pozwolił nam nabrać wody ze swojego gospodarstwa. Obładowani wodą poszliśmy w górę w kierunku

© http://www.skg.uw.edu.pl

wschodnim i na grzbiecie urządziliśmy biwak. Współczynnik feminizacji w namiocie Pawła N. okazał się rekordowy w skali całego wyjazdu, osiągając zawrotne 75%.

Dzień trzeci 14 lutego (niedziela) Poranne ognisko rozpoczęło się miłym akcentem. Do naszego obozowiska dotarła instruktorka Grażyna – pierwsze to i ostatnie wzmocnienie naszej ekipy w czasie trwania wyjazdu – później ludzie już tylko się wykruszali. Po dogaszeniu ognia ruszyliśmy. Po chwili osiągnęliśmy pipant o wysokości 694 m n.p.m., by po przeszło kwadransie dojść do rozświetlonej lutowym słońcem polanki. Tam skorzystaliśmy ze świetnej widoczności i urządziliśmy panoramkę. Zmagania z mapami, odległymi szczytami, przełęczami i oślepiającym słońcem ułożyły się ostatecznie po myśli kursantów, więc ruszyliśmy dalej. Następnie przewodnik wprowadził grupę na Kiczorę (655 m n.p.m.). W całych Beskidach liczba wszelkich Kiczor, Kiczer, Kiczerek, czy to Wielkich czy Małych, czy jeszcze innych, jest wprost zatrważająca. Odnotowano ich ponoć kilkaset. Dalej, jak się wydawało, należało już tylko sprowadzić grupę w dół grzbietem do Banicy. Do pewnego momentu wszystko szło gładko. Jednak nagle przed kursanckimi i instruktorskimi oczyma wyrosło druciane ogrodzenie. Grzbiet był zagrodzony. Przeszkody nie dało się ani przeskoczyć ani obalić. Na domiar złego na liście sprzętu wspólnego nie było nawet nożyc do cięcia metalu. Dalszy marsz grzbietem był więc niemożliwy. Zaczęliśmy obchodzić grzbiet lewą stroną. Jak się okazało ogrodzenie szło aż do samej doliny, co wymusiło trawersowanie zbocza, jarowanie oraz przejście potoku w brodzie. W końcu dotarliśmy do cerkwi pw. św. Kosmy i Damiana w Banicy. Później, patrząc na niefortunny grzbiet ze zbocza po przeciwnej stronie doliny zobaczyliśmy, że prosto do cerkwi prowadziła droga z drugiej strony grzbietu. Jeśli chodzi o banicką cerkiew, to i tym razem musieliśmy się jednak tylko obejść smakiem. Świątynię zobaczyliśmy tylko od zewnątrz, ponieważ tutejszy proboszcz, podobnie jak wczorajszy, okazał się niezłomny niczym Święty Antoni Pustelnik, gdyż nie dał się skusić hojną ofiarą i odmówił nam kluczy do Domu Bożego. Niechciani i odepchnięci w dolinie Banicy, udaliśmy się na grzbiet Sołdywca (nie wiedząc czemu przewodnik mylił go ciągle z warszawskim Słodowcem). Po zdobyciu Sołdywca (627 m n.p.m.) udaliśmy się na przełęcz między Sołdywcem a Hirkami (również 627 m n.p.m.), gdzie urządziliśmy manewry ogniowe, a następnie wspólne ognisko z posiłkiem, by móc udać się na zasłużony (a może i niezasłużony) nocleg.

Dzień czwarty 15 lutego (poniedziałek)

Wędrówkę tego dnia rozpoczęliśmy od ponownego zdobycia Sołdywca, by następnie zejść niezbyt wyraźnym grzbietem do doliny Białej. Przy dosyć deszczowej pogodzie i po doświadczeniach poprzedniego dnia woleliśmy roztropnie nadrobić paręset metrów i skorzystać z dobrodziejstw inżynierii rzecznej, przechodząc przez potok mostem. Następnie udaliśmy się na Kamienny Wierch (776 m n.p.m.) oraz na Wnyski (862 m n.p.m.). W między czasie opuścił nas instruktor Paweł Marciniak. Idąc dalej grzbietem, niespodziewanie natknęliśmy się w śniegu na ślady niedźwiedzia. Dla dobra obydwu gatunków nie podjęliśmy tropu i zamiast do gawry udaliśmy się na wierzchołek Stożka i jeszcze dalej. Przed Białą Skałą (903 m n.p.m.) urządziliśmy posiłek (nie trzeba było wysyłać ekipy po wodę do jaru, gdyż śniegu było dosyć) i poszliśmy spać w warunkach po raz pierwszy iście zimowych.

fot. Aleksander Jerzak Larsen

Dzień piąty 16 lutego (wtorek)

Z rana grupa ruszyła dziarsko pod przewodnictwem Daniela zaśnieżonym grzbietem na Ostry Wierch i dalej granicą państwową na Cygołkę. Stamtąd zeszliśmy już Homolą do Wysowej-Zdroju, gdzie śnieg już w ogóle nie zalegał. Tam też opuścił nas kolejny instruktor – Michał Bekey. Po tamtejszej cerkwi prawosławnej p.w. św. Michała Archanioła oprowadził nas batiuszka. Przy okazji zaprezentował nam prawosławny punkt widzenia spraw natury religijno-obyczajowej oraz opowiadał dowcipy o Jezuitach. Jednak ze względu na ambitne plany wędrówkowe oraz potrzebę zrobienia zakupów przed zamknięciem sklepu musieliśmy taktownie przerwać duchownemu jego ciekawe poniekąd dywagacje i opuścić cerkiew. Następnie udaliśmy się do sklepu, gdzie uzupełniliśmy zapasy jedzenia, żeby było co dźwigać do zakończenia wyjazdu. Tam też czekała nas niespodzianka. Pod sklepem na miejsce Michała do grupy samowolnie dołączył lokalny amator napojów wyskokowych (i prawdopodobnie też innych używek) - Lufa z Hańczowej. Ów mocno pobudzony syn ziemi hańczowskiej był bardzo rozmowny, a mówił rzeczy dość absurdalne i rozśmieszał zimówkowiczów, którzy próbowali go ignorować i zachować powagę. Niezrażony, Lufa podążał dalej za kursantami w górę doliny potoku Medwidka, a następnie przez las w górę zbocza w kierunku Wysoty (784 m n.p.m.) Ze względu na jego wytrwałość i zdolność do niespodziewanego wychylania się zza drzewa w najmniej spodziewanym miejscu zaczęliśmy go nazywać pieszczotliwie Gollumem. O dziwo w jakiś sposób Grażynie udało się w końcu przekonać Lufę do odejścia. Następnie udaliśmy się na szczyt Wysoty, by pod osłoną nocy udać się na cmentarz wojskowy nr 50 z czasów Wielkiej Wojny. Tam, tak jak na innych austro-węgierskich cmentarzach z tego okresu w Beskidzie Niskim, obok siebie spoczywali żołnierze obydwu stron konfliktu. Następnie sami udaliśmy się na spoczynek (nie wieczny póki co).

Dzień szósty 17 lutego (środa)

Poranek przywitał nas mroźną i wietrzną pogodą (idealne warunki do suszenia śpiworów i skarpet!) Po zwinięciu obozowiska doszliśmy do przełęczy oddzielającej Wysotę od Jaworzynki (869 m n.p.m.), która była naszym kolej-

© http://www.skg.uw.edu.pl

nym celem. Torując sobie drogę przez głęboki śnieg weszliśmy na szczyt Jaworzynki i dalej głównym grzbietem podążyliśmy na południowy wschód, by za chwilę odbić w dół w dolinę Regietówki, gdzie znajdowały się pozostałości wysiedlonej wioski łemkowskiej. Tam też zastał nas zmrok. W opuszczonej dolinie zjedliśmy obiad, po czym ruszyliśmy dalej. Gdyby buczyna karpacka miała uszy, to usłyszała by takie oto słowa: „Oddalając się od jednego jaru zawsze zbliżamy się do kolejnego". Gdyby buczyna karpacka miała oczy, to zobaczyłaby idącego lekkim zygzakiem po grzbiecie przewodnika i wlokących się za nim bez życia kursantów. Gdyby buczyna karpacka miała usta... to nie wiemy, co by było. W każdym razie przewodnikowi udało się jednak w końcu wyczuć ów grzbiet i nim dotarliśmy już płynnie na szczyt Rotundy. Tam, rozświetlone blaskiem księżyca, majestatycznie prezentowały się drewniane wieże cmentarza wojennego nr 51, uchodzącego za jeden z najpiękniejszych w Beskidach. Uwagę kursantów (tych którzy nie usnęli) również przykuła tablica z mocno patetycznym wierszem Hansa Hauptmanna. Jak dowiedzieliśmy się z referatu wygłoszonego przez przewodnika, Hans Hauptmann był właściwym człowiekiem na właściwym miejscu – służył bowiem w wojsku w stopniu hauptmanna właśnie (czyli kapitana) i zajmował się pisaniem górnolotnej poezji w Wydziale Grobów Wojennych dla powstających jak grzyby po deszczu galicyjskich cmentarzy, próbując nadać sens niekończącej się krwawej rzezi. Następnie zaczęliśmy schodzić po rozmarzającym, lekko oblodzonym błocie na nocleg. W międzyczasie jeden z uczestników zgubił swoją mapę i wyruszył na jej poszukiwania, dzięki czemu zobaczył przy okazji cmentarz na Rotundzie po raz drugi, a grupa uzyskała okazję do krótkiego odpoczynku. Jednak, jak później wyszło na jaw, niefrasobliwy zimówkowicz miał mapę cały czas w kieszeni. Ostatecznie dotarliśmy na niewielką polankę, gdzie rozbiliśmy obozowisko. Wtedy też z grupą pożegnała się Grażyna, co oznaczało, że z instruktorów do końca był w stanie wytrzymać z nami już tylko Marek Paleski. Po zakończeniu wieczerzy przy ognisku wschód słońca uświadomił kursantom, że warto by wskoczyć do śpiworów i się zdrzemnąć. I tak też wszyscy uczyniliśmy.

Dzień siódmy 18 lutego (czwartek)

Tego dnia wyruszyliśmy wyjątkowo późno, bo niedługo przed południem. Zanim to nastąpiło, już po zwinięciu biwaku, Marek wygłosił krótki wykład na temat istotności zachowania czystości w górach. Na poparcie swych słów wyciągnął prawdziwe „skarby", które zgubili uczestnicy Przejścia. Pierwszy z nich był to ordynarny śmieć – jakieś opakowanie plastikowe czy coś w tym rodzaju, o ile mnie pamięć nie myli – które beztroscy kursanci bezwstydnie przeoczyli. Drugim „skarbem" okazała się być droga rękawiczka, którą jeden z zimówkowiczów zgubił poprzedniego dnia i która prawdopodobnie kosztowała go bezsenny poranek. Jednak najcenniejszym znaleziskiem okazał się bez wątpienia trzeci artefakt. Był to kawałek sznurka syntetycznego obwiązanego wokół skarpet, który w dniu poprzednim jeden z kursantów nosił na szyi niczym pogański amulet. Nie wynikało to jednak z chęci przebłagania bliżej nieokreślonego skarpetkowego bóstwa, ale raczej było przejawem prozaicznej chęci wysuszenia tego jakże ważnego przecież elementu górskiej garderoby. Gdy wreszcie udało się wyruszyć, udaliśmy się w dół do Smerekowca. Tam znajdowała się jedna z najbrzydszych w Beskidzie Niskim cerkwi, której nie próbowaliśmy nawet zwiedzać od środka. Po krótkiej wizycie na cmentarzu wojennym nr 56 ruszyliśmy dalej asfaltem do Kwiatoni. Na własnych stopach odczuliśmy wtedy, że asfalt należy do najgorszych nawierzchni do chodzenia. Po zwiedzeniu bardzo urokliwej z kolei kwiatońskiej cerkwi pw. św. Paraskewy (figuruje na liście UNESCO) udaliśmy się już normalnie grzbietem po błocie i trawie w kierunku północnym, na kolejną już Kiczerę (583 m n.p.m), by po dość krótkim marszu zanocować tam.

Dzień ósmy 19 lutego (piątek)

Jako że był to ostatni pełny dzień chodzenia, ruszyliśmy żwawo na Wierch (620 m n.p.m.), a następnie do Nowicy, gdzie powitała nas dwujęzyczna tablica z nazwą wsi również w języku łemkowskim. Dalej przeszliśmy grzbietem do Leszczyn. Tam też nad strumieniem znajdowała się prawosławna cerkiew z małym cmentarzem. Przewodnik roztropnie przestrzegł kursantów, że wodę należy zawsze pobierać powyżej poziomu cmentarza. Woda została więc pobrana na właściwej wysokości, po czym raźno ruszyliśmy w górę grzbietem, a następnie mniej więcej w połowie drogi na pipant 612 m n.p.m. urządziliśmy smaczny posiłek. Ku uciesze uczestników przewodnik rzucił hasło „kto ostatni zje ten zmywa gar", co omal nie okazało się mieć daleko idących konsekwencji. Po skończonym obiedzie ruszyliśmy na szczyt i dalej grzbietem przez kolejny już tego dnia Wierch (tym razem 705 m n.p.m.) na Magurę Małastowską. Deszcz zauważalnie przechodził w śnieg z deszczem, a następnie w śnieg. Po dojściu na jej szczyt (813 m n.p.m.), już w prawdziwie zimowej aurze udaliśmy się na poszukiwania cmentarza wojennego nr 58. Niestety owe poszukiwania spełzły na niczym i nieopodal urządziliśmy biwak.

fot. Aleksander Jerzak Larsen

Dzień dziewiąty 20 lutego (sobota)

Jak wiadomo wszystko co dobre, szybko się kończy. Tak więc też Przejście Zimowe XXXV KPG zbliżało się nieubłaganie ku końcowi. Ostatniego dnia ranek był dość mroźny, a mokre rzeczy pozamarzały. Z tego powodu jeden z namiotów stał jeszcze po wyjęciu stelaża. Po zwinięciu obozowiska ruszyliśmy do schroniska na Magurze Małastowskiej, gdzie napisaliśmy test zaliczeniowy. Tam też spotkała nas najsłodsza rzecz podczas całego wyjazdu, a mianowicie owiany legendą blok czekoladowy. Jak się okazało Paweł N. przez cały wyjazd specjalnie targał

© http://www.skg.uw.edu.pl

ze sobą kostkę masła (jeśli nie dwie) by przygotować ten wyborny specjał. Po tym miłym akcencie poszliśmy zobaczyć cmentarz na Przełęczy Małastowskiej i dalej w dół w kierunku Małastowa. W międzyczasie zrobiliśmy jeszcze manewry ogniowe. Zagotowanie menażki wody zajęło chyba wszystkim wyraźnie krócej niż w niedzielę, co wytłumaczyć można było tylko wzrostem umiejętności. Na drodze do Małastowa dopadł nas wcześniej najęty busiarz, co oznaczało definitywne pożegnanie z górami. Ostatnie godziny przed odjazdem pociągu do Warszawy upłynęły nam na obżarstwie w przydworcowej restauracji w Gorlicach-Zagórzanach.

Dzień dziesiąty 21 lutego (niedziela)

Po wyjątkowo komfortowej nocy w zupełnie pustych przedziałach, jaką niespodziewanie zapewniło nam PKP, pociąg dowlekł się do przygnębiająco nizinnej stolicy, gdzie przywitały nas opustoszałe perony Dworca Centralnego. Nie licząc bardzo lekkich poparzeń u ogrzewającej się przy ognisku kursantki oraz drobnych odmrożeń u co poniektórych, wszyscy wrócili do domu cali i zdrowi. ■

Relacja z Przejścia Wiosennego 38. Kursu Przewodników SKG

26.04. - 04.05.2019

Rafał Stachyra

fot. Aleksander Jerzak Larsen

Przygotowania do przejścia wiosennego zaczęliśmy kilka tygodni przed przejściem. Intensyfikacja przygotowań nastąpiła w ostatnim tygodniu przed przejściem (pierwszy tydzień po Świętach Wielkanocnych). Spotkanie grupy odbyło się na Dworcu Zachodnim. Zaplanowana była godzina zbiórki o 19:40. Za dojazd odpowiedzialny był Mateusz. Niestety nie było go na dworcu, spóźnił się. Z tego też powodu w miejscu zbiórki panował lekki zamęt oraz dezorientacja. W zasadzie każdy robił co chciał. Była promocja na rożki lodowe w McDonaldzie po 1 zł. Po jakimś czasie przyjechał Radosław, który też trochę się spóźnił, przywiózł 2 piły. Okazało się, że nie wiedział, że ja biorę 2. Byłem odpowiedzialny za sprzęt wspólny i to ja wziąłem większość sprzętu. O godzinie 20:40 wyruszyliśmy do Rymanowa w zasadzie troszeczkę później z powodu spóźnienia autobusu. Przesiadaliśmy się i po godzinie 3 rano byliśmy w Rymanowie-Zdroju. Mateusz zarządził śniadanie. Następnie odbył się komentarz instruktorów. Przez pierwsze 1,5 dnia mieli traktować nas ulgowo do czasu przyjazdu Leszka oraz Sylwii. Pierwsze prowadzenie dostał Radosław. Najpierw ustaliliśmy, gdzie jesteśmy. Następnie ruszyliśmy na nieoznaczonego pipanta na południe. Po drodze Radosław uświadomił nas na temat techniki ścinania drewna przez drwali oraz działów wodnych. Gdy weszliśmy na pipanta, kolejnym naszym celem była Wołtuszowa. Po drodze zobaczyliśmy młodnik. Radosław uświadomił nas na podstawie tabliczki, że składa się on w 100

Instruktorzy poprosili nas o zrobienie panoramki. Następnie dostaliśmy mapy przygotowane przez Michała Bekeya. Mapy pozbawione były obiektów antropogenicznych oraz warstw biologicznych. Następnie ruszyliśmy dalej, zdobyliśmy Dział 673 m n.p.m. Udało nam się zdobyć również obiekt zaawansowanej kultury technicznej - maszynę służącą do kopania w ziemi zwaną koparką. Mierzyła ona 2,5-3 metry.

Następnie ruszyliśmy w stronę Głównego Szlaku Beskidzkiego. Na wschodnim zboczu góry Wiktoria zmieniła Radosława i została naszą nową przewodniczką. Następnie zaczęliśmy kierować się na pipanta 605 znajdującego się na północnym-wschodzie od grzbietu, który spadał ku południowemu-wschodowi. Weszliśmy na wierch Tarnawski. Zeszliśmy w stronę południowo-wschodnią. Doszliśmy do szosy. Naszym oczom ukazał się kolejny zaawansowany sprzęt antropogeniczny: walce i koparki. Pani przewodnik panowała na grupą i nie pozwoliła na zdjęcie. Drogą była wyasfaltowana, nowa, świeżo zbudowana. Chcieliśmy schodzić dalej, jednak naszym oczom ukazała się przepaść. Przeszliśmy drogą w kierunku wschodnim z lekkim odchyleniem na południe. Przeszliśmy 300-400 m, Pani przewodnik zarządziła dłuższą przerwę techniczną, aby mogła zapoznać się z terenem, a my abyśmy mogli odpocząć i zniknęła w krzakach. Po około 15-20 minut wróciła Wiktoria idąc w naszą stronę pewnym krokiem. Oznajmiła nam, że znalazła drogę. Tego samego dnia trwała odbywała się impreza biegowa z pasami. Doszliśmy do asfaltowej drogi wiodącej do wsi Wisłoczek. Poruszaliśmy się wzdłuż cieku o tej samej nazwie. Mieliśmy okazję ujrzeć formację geologiczną. Wiktoria opowiedziała nam o skałach, które zobaczyliśmy. W naszych oczach można było dostrzec podziw dla Pani przewodnik. Bowiem widzieliśmy bardzo strome skały. A gdybyśmy szli bezpośrednio na potok, spadlibyśmy w przepaść. Jeszcze wcześniej po drodze znaleźliśmy ułamany znak i aż kusiło, aby go wziąć. Następnie szliśmy na zachód. Na polu namiotowym SKPB Rzeszów zrobiliśmy sobie przerwę. Mieliśmy szansę dostrzec szereg wodospadów. Ruszyliśmy w kierunku

© http://www.skg.uw.edu.pl

wsi Wisłoczek. Mieliśmy okazję skorzystać z dobroci gospodarzy oraz zaopatrzyć się w wodę. Ruszyliśmy w górę na pipanta 590. Radosław chciał, abyśmy ruszyli na położony niedaleko cmentarz choleryczny. Gdy weszliśmy do lasu, nastąpiła zmiana prowadzenia. Przejął nas Mateusz i zaczęliśmy robić obiad. Posiłek poszedł dosyć sprawnie. Nie padało, było dużo suchego drewna. Okazało się, że Radosław ma własną piłę (czyli w zasadzie mieliśmy 5). Nie musieliśmy chodzić po wodę. Poszliśmy spać. Pobudka była o godzinie 22:00. Przed pójściem spać zostałem razem z Dominikiem wysłany w celu uzupełnienia zapasu wody.

Ponieważ miałem prowadzenie, wstałem godzinę wcześniej o 21:00. Obudziłem Dominika. Rozpaliliśmy wielkie ognisko. Nie obyło się bez strat. Okazało się, że pod wpływem temperatury stopiła się aluminiowa pokrywka. Ognisko było naprawdę duże. Zrobione zostało w miejscu poprzedniego. Spaliło się przy okazji trochę liści na drzewie. O godzinie 22:00 była pobudka. Padło polecenie zwijania namiotów. Około godziny 22:35 posiłek był już gotów. Instruktorzy nie zwinęli namiotu, gdyż jak się okazało miała nadejść burza. Około 23:00 posiłek w zasadzie się skończył. Okazało się jednak, że nie mamy przygotowanej wody. Woda, którą pobraliśmy, była niezdatna do picia. Nastąpiła dyskusja, co robimy. Przez kolejną godzinę przygotowywaliśmy wodę oraz studziliśmy. Ostatecznie wyruszyliśmy o godzinie 24:00. Zaczęło również padać. Deszcz z lekkimi przerwami utrzymywał się przez cały kolejny dzień. Także widoczność nie była dobra. Padło polecenie pełnej mocy czołówek. Dalej trwało szukanie grzbietu i przedzieranie się przez krzaki. Potem natrafiliśmy na pola uprawne. Kilkakrotnie przedzieraliśmy się przez drut kolczasty. Gdy pola się skończyły, znaleźliśmy się pod wejściem na Dział 734 m n.p.m. Zrobiliśmy przerwę, na której odbyła się krótka gra oraz konkurs z nagrodami. Szliśmy dalej. Było dużo poprzewracanych drzew. Szliśmy bardzo wolno cały czas szukając grzbietu. Gdy weszliśmy na nieoznaczonego pipanta, powiedziałem, że jesteśmy na Jaworniku 762 m n.p.m. (tak myślałem wówczas). Rozpoczęła się niezaplanowana przerwa, bo każdy miał się zorientować, gdzie jesteśmy. Po 15 minutach byliśmy gotowi do wymarszu. Prowadzenie przejął Mateusz i oznajmił nam, że nie jesteśmy na Jaworniku. Założył potencjalne dwa miejsca, w których mogliśmy być. Jak się okazało - każde błędne. Ruszyliśmy na zachód. Zeszliśmy 40-50 m. Zaczęliśmy schodzić do jaru. Ruszyliśmy na południowy-zachód, znaleźliśmy grzbiet. Tempo marszu było całkiem szybkie. Po 20 minutach zmieniliśmy kierunek na północny-zachód. Po około 30-40 minutach od zmiany prowadzenia nastał świt. Weszliśmy na grzbiet, gdzie było dużo wysokich drzew bez gałęzi (podejrzewałem że to właśnie jest Jawornik, jak się okazało potem słusznie). Mateusz jednak szedł dalej, nagle zmieniliśmy kierunek. Szliśmy teraz zachodnim grzbietem Jawornika w stronie południową. Weszliśmy na nieoznaczonego pipanta, który znajdował się na zachód od Jawornika. Dalej kierowaliśmy się grzbietem do wsi Królik Wołoski. Podczas trasy były dwie przerwy. Jedna przedłużyła się do 25 minut. Zaginął na niej Radosław. Zaczęły się spekulacje, czy poszedł na hydraulikę czy na coś innego. Mateusz poszedł go szukać. Po chwili wrócił i rozwiał nasze wątpliwości. Powiedział, że rzeczywiście Radosław potrzebował tego czasu, bo zauważył go, jak zakładał spodnie. Po drodze zaobserwowaliśmy też kilka salamandr. Niektóre były niespotykanych rozmiarów. Po długim wyczerpującym marszu doszliśmy do Królika Wołoskiego. Zrobiliśmy przerwę w pobliżu cerkwi pod wezwaniem Przeniesienia relikwii św. Mikołaja. Przyjechali wtedy do nas Sylwia oraz Leszek.

Cerkiew była w ruinie, a cały teren był zamknięty. Po 15-20 minutach prowadzenie dostał Radosław. Powiedział, że w celu podniesienia morali zrobimy ognisko. Trwało ono sporo. Głównie dlatego, że trafił się obszar „bez drewna" oraz wszystko było mokre z powodu deszczu. Na ognisku instruktorzy powiedzieli nam, że odjeżdżają. Kazali nam następnie kierować się do Dukli z przystankiem na Cergowej, gdzie mieliśmy o 6:00 spotkać się ze Stanisławem. Instruktorzy zabrali też dwie zbędne piły. W komentarzu były uwagi odnośnie współpracy i wykorzystywania rzeczy. Dowiedzieliśmy się od Karoliny, że Radosław ma coś w rodzaju saperki, którą mogliśmy zakopać wieczorne ognisko. Jak się potem okazało, Radosław miał wiele ciekawych rzeczy: toporki, siekierki itd. Warto go więc brać na wyjazdy, bo nie trzeba nosić sprzętu :). Ruszyliśmy więc do Duki. Rozdzieliliśmy się na trzy grupy. Pierwotny plan zakładał trasę: Królik Wołoski-Dalnia Góra-Osiecznik-Popowa Polana-Kaniów Dział-Cergowa-Mała Góra-Dukla. Jednak ze względu na komplikacje techniczno-atmosferyczno-topograficzno-logistyczne trasa wydłużyła się. Ostatecznie bilans był bardzo niekorzystny. Ja, Leszek oraz Radosław szliśmy najszybciej, a doszliśmy najpóźniej. Samo wejście po Cergową było bardzo trudne i masakryczne. Deszcz rozmył trudny i bardzo stromy szlak. Musieliśmy miejscami wręcz czołgać się. Poruszaliśmy się wówczas 0,5-1,0 gota na godzinę. Na Cergowej 683 m n.p.m. mieliśmy zdobyć pieczątki. Okazało się jednak, że ich nie było. Wpisaliśmy się więc do zeszytu, weszliśmy na wieżę, zrobiliśmy zdjęcia i poszliśmy.

Zejście było jeszcze trudniejsze. Ciągle przewracaliśmy się w błoto. Po trudnej drodze doszliśmy do ośrodka. Większość kaloryferów była zajęta. Zaczęliśmy wyjmować i rozwieszać rzeczy, gdzie się dało. Poprosiliśmy panią zajmującą się schroniskiem o włączenie ogrzewania. Niestety nikt nie dorzucał do pieca i większość rzeczy nie wyschła. O godzinie 6:30 obudził nas Dominik i powiedział że Stanisław już na nas czeka. Po około 15 minutach byłem na dole. Okazało się niestety, że rzeczy nie wyschły. Po 5-10

minutach wyszedłem na górę. Postanowiliśmy, że pójdziemy do sklepu. Powiedziałem, że w zasadzie jestem gotowy. Chodziłem kilka razy: do piekarni, cukierni, sklepu spożywczego. Każdy chciał co innego. Ostatecznie kupiliśmy: krówki, 2x chleby, 8 bułek, ciasto, ciastka 3x różne rodzaje itd. Ogólnie jak Stanisław wszedł do schroniska, przeraził się. Zaczął się zastanawiać, gdzie trafił: noclegowni jakiejś, czy do cyganów jakichś :) Około 7:30 prowadzenie dostał Leszek. Zrobił bardzo sprawnie śniadanie. Jednak grupa gotowa była do wyjścia dopiero po godzinie 11:00. Pakowanie przebiegało bardzo przyjemnie. Leszek wyciągnął ze swojego plecaka jamnika i puścił muzykę. Więc w zasadzie prawie 6 godzin wychodziliśmy z ośrodka (pierwotnie mieliśmy wstać o 6:00 i wyjść o 8:00). Leszek prowadził nas dalej, poszliśmy obejrzeć synagogę. Zrobiliśmy kółko wokół miasteczka. Kierowaliśmy się na południe, potem południowy-zachód. Zdobyliśmy Sysakową 466 m n.p.m., Wierzchowinę 480 m n.p.m., Kardasz 576 m n.p.m., Chyrową (Magurę) 694 m n.p.m. Większość trasy pokonaliśmy pomarańczowym szlakiem. Po drodze mieliśmy okazję oglądać chatę łemkowską oraz pomnik. Nie obyło się bez ofiar. Dominik nadwyrężył sobie dzień wcześniej kolano, a dzisiejszy marsz przeciążył go jeszcze bardziej. Niestety nie był w stanie towarzyszyć nam dalej i niebawem rozstaliśmy się. Kierowaliśmy się następnie grzbietem na zachód w kierunku Chyrowej. Gdy wyszliśmy z lasu, zrobiliśmy dłuższą przerwę. Podczas niej robiliśmy panoramkę. Dominik przekazał gary Radosławowi. Radosław powiedział, że ich nie zmieści. Leszek powiedział do Radosława, że nie wie jak on to zrobi, ale musi to zmieścić. Zadzwoniliśmy też w międzyczasie do Karoliny. Radosław po dłuższej chwili intensywnego liczenia doszedł do wniosku, że pokrywka jest wielkości kartki A4, czyli ma promień 30 cm. Ruszyliśmy dalej. Grupa zaczęła się rozciągać. Radosław powiedział, że pierwszy raz ma tak ciężki plecak. Tempo zaczęło spadać. Wkrótce trafiliśmy nad rzekę.

fot. Aleksander Jerzak Larsen

Jak się okazało, wyszliśmy nie tam gdzie chcieliśmy. Nie było mostu. Zaczęły się tak zwane „manewry rzeczne". Każdy miał inny sposób na rozwiązanie tego problemu. Michał wymyślił patent przechodzenia przez rzekę w worku na śmieci. Radosław z kolei zaczął układać kładkę z kamieni. Po chwili przerwy ruszyliśmy. Prowadzenie przejęła Sylwia. Gdy doszliśmy do cerkwi, przewodniczka zarządziła postój. Przyszedł do nas przedstawiciel lokalnej społeczności. Weszliśmy do środka. Zaczął wypytywać nas o rozmaite rzeczy, jednak odpowiedzi nie było za dużo - nie byliśmy skłonni do rozmowy. Powiedział: "co wy jesteście na kursie przewodnika, a nie wiecie tego, tego i tamtego?"

Potem ruszyliśmy w kierunku Halki 696 m n.p.m. (Dania). Na drodze powiatowej pożegnaliśmy Maksa. Pierwszy samochód, który przejeżdżał, zabrał go. Pomyśleliśmy: "magik". Pojawił się też całkiem spory pies, jednak tak jak nie wiadomo skąd się pojawił, tak szybko zniknął z pola widzenia. Gary niczym kamienie ciążyły Marcinowi. Nie miał siły iść, ale walczył. Zuzia zaprosiła go do przodu, aby dotrzymał jej towarzystwa. Około 10-15 minut przed szczytem zdjęliśmy plecaki i zaczęliśmy wchodzić. Marcin powiedział, że teraz to może biec. Na szczycie było dużo okopów. Weszliśmy, a właściwie wbiegliśmy w niecałe 10 minut. Potem schodziliśmy, jednak ku naszemu przerażeniu nie było plecaków. Rozpoczęła się akcja "plecaki". Zaczęliśmy wszędzie ich szukać. Po dłuższej chwili znaleźliśmy je - na szczęście przed zmierzchem. De facto nawet z plecakami zrobilibyśmy szybciej trasę. Całość wejście+zejście+przerwy+szukanie plecaków = ponad godzinę. Ruszyliśmy na Kiczerę, mieliśmy zrobić obiad na przełęczy przed szczytem, przeszliśmy drogę. Weszliśmy na nieoznaczonego pipanta. Następnie błądziliśmy, chodziliśmy we wszystkich kierunkach. Na jednej z przerw zdjęliśmy buty. Większość z nas - w tym ja - miała białe odmoczone, odparzone, poobcierane i pokaleczone nogi (mózgostopie - przyp. red.). Wstaliśmy i ruszyliśmy dalej. W końcu znaleźliśmy przełęcz. Zrobiliśmy tam ognisko. Złamała się jedna z pił. Radosław wyjął swój toporek i zaczął uderzać. Stanisław zwrócił mu uwagę, że jesteśmy za głośno i poszedł spać. Zrobiliśmy wielkie ognisko. Oczywiście nie obyło się bez strat - Radosław wypalił sobie dziurę w spodniach i koszulce. Wyciągnęliśmy też rzeczy z plecaków. Po niecałych 2 godzinach obudziliśmy Stanisława, gdyż posiłek był już gotowy. Zaczęliśmy jeść. Radosław poprosił Mateusza o igłę i zaczął szyć sobie spodnie i koszulkę. Leszek wyciągnął ze swojego bagażu multi-kulti. Stanisław popatrzył na nasze rzeczy i powiedział, że bierzemy w podróż wiele zbędnych rzeczy. Ruszyliśmy. Prowadzenie przejął Radosław. Przedstawił nam trasę, celem był Wadernik. Powiedział, że Leszek będzie zamkiem. Zapytał, czy ma czerwone światło. Po uzyskaniu twierdzącej odpowiedzi poprosił o jego włączenie. Po 10 minutach zdobyliśmy szczyt. Następnie kierowaliśmy się na zachód. Po przejściu 5 minut Radosław powiedział: "słuchajcie, szliśmy teraz na zachód, a powinniśmy na południowy-wschód." Stanisław zapytał się go: "to po co idziesz na zachód?" Zmieniliśmy kierunek. Czerwone światło dawało słabą widoczność. Nie można było zaobserwować, co ma się pod nogami ani nie można było śledzić mapy. Leszek zostawał w tyle. Radosław zapytał Leszka co się stało. Leszek powiedział, że przez te czerwone światło nic nie widzi. Radosław powiedział: "widzisz, przez twój głupi pomysł prawie kolegę byś zabił". Szliśmy dalej, Radosław często odwracał się do grupy i mówił swoje spostrzeżenia. Były one na ogół ciekawe, jednak często nie czekał na grupę. Często Leszek pytał o co chodzi, bo nie usłyszał (szedł jeszcze). Minęliśmy drogę oraz przystanek autobu-

sowy. Weszliśmy do lasu za Krzemianką. Cały teren był bardzo podmokły oraz wszędzie było dużo błota. Zaczęliśmy wchodzić na pipanta 610 kierując się na Wadernik. Odbyła się przerwa. Nikt nie miał siły. Po około 20-30 minut zrobiliśmy przerwę i poszliśmy spać. Pospaliśmy 5-6 godzin (!). Rano prowadzenie przejęła Wiktoria. Pobudka była o 7:00. W zasadzie i tak spałem w tym, w czym byłem, ponieważ miałem mokry śpiwór. Z tego też powodu szybko wyszedłem z namiotu o 7:02. Zacząłem przynosić drewno. Wiktoria wysłała Mateusza oraz Sylwię po wodę. Rozległ się huk i zaczęły wyć syreny (właściwie do dzisiaj nie wiadomo co się stało, chyba na stacji coś wybuchło). Podczas ogniska zacząłem wywieszać swoje rzeczy na drzewach. Powstał klimat coś w rodzaju cygańskiego obozu. Wstanie i zebranie się zajęło około 3 godziny.

Ruszyliśmy na Wadernik. Po drodze minęliśmy Rezerwat Wadernik. Padło też pytanie instruktorów: gdzie byliśmy na przerwie. Weszliśmy na Wadernik 565 m n.p.m. Następnie kierowaliśmy się na Wapno 599 m n.p.m. Po krótkiej przerwie szliśmy dalej. Po około 10-15 min prowadzenie dostałem ja. Zakomunikowałem, gdzie idziemy - Tylawa. Kierowaliśmy się na południowy-wschód. Zboczyliśmy 20-30 m, ale wróciliśmy na drogę. Następnie zaczęliśmy schodzić grzbietem na wschód. Po drodze grupa ciągle się rozdzielała. Było bardzo dużo rzeczy odciągających uwagę grupę od marszu: puszki, odpady po nabojach, niebieskie ślimaki itd. Schodziliśmy grzbietem. Nagle ujrzeliśmy rzekę. W pobliżu niej drzewa były bardzo gęste i musieliśmy się przez nie przedzierać (każdy był bardzo zdziwiony faktem, że przy rzece rosną gęste drzewa). Po pokonaniu „manewrów drzewnych" wyszliśmy na łąkę. Teren był bardzo płaski. Zaczęliśmy iść w kierunku przeprawy. Jak się okazało - mostu nie było. Przeszliśmy przez rzekę.

Udaliśmy się do cerkwi. Zaczęliśmy się zastanawiać gdzie się zatrzymać. Mieliśmy spotkać się z Karoliną. Zadzwoniła do nas i powiedziała, że jest na przystanku. Bezpiecznie przeszliśmy przez jezdnię. Zaczął padać deszcz. Zebrałem puste butelki i wysłałem grupę wodną do pobliskiego baru po czystą wodę. Poszliśmy też do sklepu i kupiliśmy płaszcze przeciwdeszczowe oraz worki na śmieci, aby włożyć tam ubrania. Przedłużałem czas przerwy, bo lało. Gdy grupa była gotowa do wyjścia (40 minut przerwy), przestało padać. Prowadzenie przejął Mateusz. Zaczęliśmy kierować się na Dział Tylawski 610 m n.p.m. Po drodze znaleźliśmy porozrzucane kości. Radosław zafascynował się kością żuchwy oraz dolnymi zębami. Karolina powiedziała do niego, że to jeszcze nic, bo tu ma czaszkę. Zaczęliśmy się zastanawiać, jakiego zwierzęcia to czaszka. Radosław powiedział, że weźmie ją i ustawi sobie na półce. Myśleliśmy, że żartuje, ale rzeczywiście ją wziął. Powiedział też, że zawsze chciał mieć czaszkę jakiegoś dużego zwierza np. łosia, jelenia itp. Na Dziale Tylawskim zobaczyliśmy 3 duże anteny. Były to wieże przekaźnikowe. Kolejnym celem był Wysoki Dział 616 m n.p.m. Na przełęczy pomiędzy szczytami zrobiliśmy sobie przerwę, na której zrobiliśmy obiadokolację. Zostaliśmy wysłani po wodę razem z Leszkiem. Zapytałem się oczywiście gdzie jesteśmy :), potem zaczęliśmy łamać drewno. Ognisko poszło bardzo sprawnie. Jednak gdy się zbieraliśmy, Marcinowi zepsuł się stelaż w plecaku. Ponownie zaczęliśmy dorzucać do ogniska. Po kolejnej godzinie byliśmy gotowi do wymarszu. Stanisław zapytał, czy gdyby ktoś z nas dostał prowadzenie, to by wiedział gdzie jesteśmy. Powiedziałem, że ja bym wiedział, bo byłem po wodę i zorientowałem się w terenie. Nie dostałem więc prowadzenia, dostała je Sylwia. Celem naszym była Tokarnia 692 m n.p.m. Kierowaliśmy się na Wysoki Dział i weszliśmy na niego. Potem szliśmy na południe, południowy-zachód, północny-zachód, północ, południe. Doszliśmy do zielonego szlaku. Szliśmy dalej w kierunku południowo-zachodnim. Okazało się, że powinniśmy iść w północno-wschodnim. Szliśmy więc dalej w tym kierunku. Jednak po jakimś czasie zgubiliśmy szlak. Zuzia miała też problem z czołówką oraz bateriami do niej. Na postoju pożyczyłem jej latarkę. Pobłądziliśmy znowu i szukaliśmy szlaku. Drogi były bardzo zabłocone. Było już ciemno. Grupa rozciągała się. Było dużo fascynujących rzeczy po drodze jak niebieskie ślimaki, itd. Marcin został poproszony na początek, bo szedł z tyłu. Na jednym z postojów znaleźliśmy młotek (nie wiem, czy ktoś go wziął). Postoje wyglądały w ten sposób, że każdy spał lub leżał, natomiast Zuzia sprawdzała czas, instruktorzy czuwali, a ja się uczyłem do gawędy. W końcu pomiędzy Czerwonym Horbem 618 m n.p.m. a pipantem 649 m n.p.m. na południowy-wschód od niego zrobiliśmy przerwę. Była to przerwa noclegowa. Znowu byliśmy zmęczeni i bez jedzenia poszliśmy spać. Rano prowadzenie przejął Radosław. Kazał nam wstać. W zasadzie wszystko było mokre, więc spałem w tym w czym chodziłem poprzedniego dnia. Zostaliśmy razem z Mateuszem poproszeni o przelanie wody do gara oraz wysłani do jaru po wodę. Potem musiałem machać przy ognisku. Ognisko troszeczkę się dłużyło. Po ognisku prowadzenie przejął Leszek. Ruszyliśmy. Leszek znany jest z zabójczego tempa. Radosław w tempie ekspresowym od razu został poproszony na początek. Zdobyliśmy pipant 649 oraz Tokarnię 692 m n.p.m. Na Tokarni była tabliczka z informacją, że papież tędy szedł. Leszek znał teren, ale popełnił ten sam błąd co na przejściu zimowym. Zamiast z Tokarni pójść grzbietem na południowy-zachód poszedł na południowy-wschód. Cofnęliśmy się i ruszyliśmy dalej pomarańczowym szlakiem. Doszliśmy do potoku, znaleźliśmy kładkę i przeszliśmy na drugą stronę. Byliśmy w Lipowcu. Instruktorzy wymusili na Leszku przerwę ponad 30-minutową. Mogliśmy się wykąpać (oczywiście skorzystałem z tej możliwości).

© http://www.skg.uw.edu.pl

Podczas postoju rozegrała się kłótnia. Aleks chciał wziąć od Radosława rzeczy, aby ten szybciej szedł. Powiedział, że weźmie namiot, toporki, siekierki, saperkę itd. Radosław na to, że teraz to idzie wolno, bo go nogi bolą. Leszek powiedział, że inaczej się umawiali. Kłótnia potrwała dłuższą chwilę. Następnie ruszyliśmy w kierunku Kamienia 857 m n.p.m. Tam też była tabliczka, że tutaj był papież. Instruktorzy zadali nam pytanie, ile będziemy szli dalej. Następnie ruszyliśmy wzdłuż granicy polsko-słowackiej. Zdobyliśmy m.in. Szeroki Jasielnik oraz Kopriwniczną. Celem była baza namiotowa znajdująca się przy niebieskim oraz pomarańczowym szlaku. Trasa zajęła trzy i pół godziny.

Podczas trasy minęliśmy bardzo dużo cmentarzy z okresu I wojny światowej. Mieliśmy też okazję wysuszyć swoje śpiwory. Wiatr wiał przez większość trasy, gdy szliśmy grzbietem. Radosław założył śpiwór na siebie i udawał Darta Weidera. Gdy doszliśmy, dołączył do nas Stefan. Ognisko już się paliło. Wstawiliśmy na nie gary i poszliśmy spać. Kolejnego dnia czekały nas manewry, czyli 65-80 gotów do przejścia w 24 godziny. Przed snem nie wiedziałem, czy pójdę na manewry, bo źle się czułem poprzedniego dnia. Zresztą dokuczał mi ból nóg spowodowany ranami, odparzeniami, odmoczeniami, odciskami, urazami itd... Wstaliśmy około godziny 7:00. Zjedliśmy co nieco. Ciągle nie czułem się najlepiej, ale przełamałem się i poszedłem. Trafiłem do grupy razem z Wiktorią. Ruszyliśmy o godz. 8:00. Zrobiliśmy w 75 minut około 7,5 gota aż do podnóży Debrza 609 m n.p.m. Przeszliśmy przez rzekę. Zrobiliśmy przerwę około 15 minut na zapoznanie się z terenem. Podjęliśmy decyzję, że bierzemy jeden plecak i pakujemy tam wszystkie nasze rzeczy. Patrzyłem na układ lasu, rzeki, słupów, obecność cmentarza. Zrobiliśmy też zdjęcia. Po 15 minutach od wyruszenia minęliśmy młodnik. Znaleźliśmy się na Debrzu po około 15-20 minutach. Szukaliśmy kartki nigdzie jej nie było. Zadzwoniliśmy do Karoliny i Stanisława nie odbierali bądź nie mieli zasięgu. Postanowiliśmy wywiesić więc własną kartkę. Zrobiliśmy zdjęcia.

Poszliśmy dalej w kierunku Polańska 737 m n.p.m. (Horbki Sabaryniackie). Musiałem skorzystać z hydrauliki, powiedziałem: "Wiktoria idź dalej, mną się nie przejmuj." Zajęło to więcej czasu niż przewidywałem. Potem biegłem, szukałem Wiktorii. Gdy ją usłyszałem, biegłem ile mogłem (a nie mogłem). Na szczęście się znaleźliśmy. Jednak gdy biegłem, gdzieś zgubiłem kompas (na szczęście miałem dwa). Miałem go na sznurku i widocznie gdzieś zginął, jak się przedzierałem przez krzaki. Ruszyliśmy dalej drogą w kierunku Popielaka 615 m n.p.m. Po drodze znaleźliśmy bardzo dobrze zachowany kręgosłup jakiegoś zwierzęcia. Zrobiło mi się szkoda, że Radosława z nami nie ma. Na pewno by go przygarnął. Postanowiliśmy iść na otwarty teren bez drzew na zachodnim stoku. Zrobiliśmy sobie zdjęcia. Zeszliśmy do przestrzeni rekreacyjno-turystycznej na parkingu. Zrobiliśmy przerwę 5 minut. Dalej szliśmy Beskidzką Trasą Kurierską JAGA-KORA. Minęliśmy altankę z kominkiem. Następnie doszliśmy do Chatki Studenckiej (sezonowej) Chałupa Elektryków KTE Styki.

Wiktoria źle się poczuła, ale jakoś daliśmy radę i weszliśmy na Polańską.

Znowu szukaliśmy kartki, której nie było. Zadzwoniliśmy do Karoliny i Stanisława - nie odbierali. Postanowiliśmy obdzwonić inne osoby jak sytuacja u nich. Radosław powiedział, że z Leszkiem zdobyli na razie jeden punkt. Bardzo nas to zmotywowało. Sylwia oraz Mateusz nie odbierali natomiast. Dalej minęliśmy Polany Surownicze, przeszliśmy Ruską Górę 583 m n.p.m. idąc jej wschodnim zboczem. Szliśmy wzdłuż lasu. Weszliśmy na Ibocz 572 m n.p.m. Szliśmy dalej w kierunku zachodnim. Doszliśmy do Posady Jaśliskiej, minęliśmy most. Następnie kierowaliśmy się do Jaślisk, gdzie planowaliśmy dłuższą przerwę. Miała być jakaś restauracja/bar, okazało się jednak że nieczynny.

Wiktoria poszła do sklepu sieci Groszek. Usiadłem w wiacie na przystanku. Przyszedł tam pewien człowiek, który ukrył się za wiatą i zaczął spożywać alkohol. Powiedział, abyśmy nie donosili, że ludzie są fałszywi itd. Wywiązała się między nami rozmowa. Miałem zdjęte buty. Powiedział, że mam tragiczne nogi i pierwszy raz coś takiego widzi. Zadzwonił po syna, który przywiózł talk. Podziękowaliśmy mu i daliśmy kilka czekolad z własnych zapasów. Następnie zapytał, czy wiemy co to za chmura. Wiata była murowana, powiedzieliśmy, że nie wiemy. Powiedział: "nie wiecie, a świadczy ona, że burza będzie." Odpowiedzieliśmy Cumulonimbus. Potem poszedł. Następnie przyszła inna osoba. Powiedziała, że to alkoholik, złodziej, oszukuje, aby na niego uważać. Wiktoria powiedziała, aby się stąd zbierać, bo jej się tu nie podoba. Przyznałem rację, że już długo tu jesteśmy - ponad godzinę. Ruszyliśmy na Kamienną Horę 668 m n.p.m. Zdecydowaliśmy, że wchodzimy na nią bezpośrednio omijając Kamarkę 630 m n.p.m. Po drodze okazało się, że nie ma Cumulonimbusa tylko to zwykłe Cumulusy.

Kartki znowu nie było. Zostały nam jeszcze dwa punkty. Z czego minęło już 10:46 minut. Podjęliśmy decyzję, że musimy jeszcze przed zmierzchem zdobyć IV punkt - Kiczerę 667 m n.p.m., bo teren nie jest prosty topograficznie. Znaleźliśmy przełęcz, potem szliśmy szlakiem. Na miejsce doszliśmy, gdy półmrok zmieniał się w mrok. Była 20:37. Kartki nie było. Powiesiliśmy kartkę we wnętrzu spruchniałego drzewa.

Wybraliśmy, że pójdziemy grzbietem w stronę południowo-wschodnią. Miałem drugi kompas, ale wolno się nastawiał. Troszkę więc pobłądziliśmy. Znaleźliśmy w końcu niebieski szlak. Przeprawiliśmy się przez rzekę. Zrobiliśmy przerwę w wiatce na skrzyżowaniu niebieskiego oraz pomarańczowego szlaku. Potrwało ona ponad 25 minut. W zasadzie rozpoczął się najłatwiejszy topograficznie (cały czas niebieski szlak), a najtrudniejszy pod względem psychicznym odcinek (skumulowanie zmęczenia, senność, ból - zwłaszcza nóg itd...). Przez całą drogę słyszeliśmy odgłosy zwierząt. Wiktoria widziała jakieś oczy. Dodatkowo stres wzmogła tabliczka: "Uwaga na niedźwiedzie". Przez całą drogę hałasowaliśmy patykami. Dostałem zwidów, raz miałem wrażenie, że ktoś zachodzi mnie od tyłu. Krzyknąłem. Wiktoria zaczynała przysypiać w marszu, ale też krzyknęła. Przyspieszyliśmy tempo. W okolicy cmentarzy było widać jakieś czerwone światło. V punktem była Kopriwniczna. Nie wiadomo w zasadzie czy to był szczyt. Nie chcieliśmy oddalać się od szlaku. Raczej był. Kartkę powiesiliśmy na drzewie, które miało dużo uschłych gałęzi schodzących w dół pod kątem około 45 stopni. W efek-

© http://www.skg.uw.edu.pl

cie doszliśmy do obozu o 4:00. Nikogo nie było. Obudziliśmy instruktorów o 4:12. Okazało się, że dotarliśmy jako pierwsi. Rozpaliliśmy ognisko. Nie było drewna w najbliższej okolicy, wszystko było już pozbierane. Nie chciało nam się iść dalej. Wziąłem więc kłodę drewna i zacząłem nią rzucać, aby spadły gałęzie znajdujące się na wysokości 2.5-5 m. W międzyczasie wrócili jeszcze Sylwia i Mateusz. Zdziwili się, że byliśmy pierwsi i nie ma Leszka i Radosława. Okazało się też, że zjawiły się lisy i poczyniły znaczne szkody. Wyjadły dużo jedzenia, zniszczyły Wiktorii plecak. Zapytałem się instruktorów, czy mogę zrobić śniadanie, bo można się wcześniej przygotować. Instruktorzy odmówili i powiedzieli, że nikt z nas nie będzie miał śniadania. I poszliśmy spać. Pobudka była około godziny 11:00. Leszek i Radosław wrócili po godzinie 7:00. Musieli ugotować tak jak i my menażkę wody. Leszek dostał za zadanie zrobienie śniadania. Chłopaki spali 2-3 godziny. Następnie odbyło się śniadanie. Poprowadził je Leszek. Podczas śniadania Leszek powiedział, że niech każdy nałoży sobie tyle jedzenia, ile chce. Radosław powiedział, że to rewolucje kulinarne. Stanisław nam dał sugestie dzień wcześniej, że mieszamy wszystko w jednym garze i jedzenie traci smak oraz że każdy dostaje tyle samo jedzenia. Zaczęliśmy zwijać namioty i byliśmy gotowi do wyjścia. Zaczął padać deszcz. Radosław cały czas pakował się w namiocie. Deszcz przybrał na sile. Cały namiot Leszka oraz Radosława znalazł się w wielkiej kałuży. Instruktorzy powiedzieli, że następuję zmiana prowadzenia i Radosław jest nowym przewodnikiem. Zapytał się: "Ja?". Przez 5-10 minut nie wychodził z namiotu. Następnie wyszedł i powiedział, że w deszcz nie ma co iść. Wygłosiliśmy kilka referatów. Zaczęliśmy też rozpalać ognisko od nowa. Gdy ognisko było już duże, dostałem za zadanie zrobienie obiadu. Zdecydowałem, że zjemy na obiad kolację. Gotowaliśmy też jedzenie w menażkach - w każdej co innego. Dzięki temu jedzenie nie straciło smaku. Posiłek przygotowany został w miarę szybko. Jednak przy jego podawaniu nastąpiły problemy logistyczne. Udało się jednak je pokonać. Po smacznym posiłku zdecydowaliśmy, że pójdziemy dalej. Okazało się, że nie możemy iść, bo lisy zniszczyły Wiktorii plecak. Wyjęliśmy apteczkę sprzętową i poświęciliśmy 15-20 minut na naprawę plecaka. Byliśmy gotowi do wyjścia. Prowadzenie dostał Radosław. Kierowaliśmy się na Kanasiówka (Baba) 831 m n.p.m. Po drodze musieliśmy zatrzymać się, bo plecak Wiktorii nie wytrzymał. Znowu rozpoczęła się przerwa techniczna. Na szczycie prowadzenie dostał Leszek. Zdobyliśmy Wielki Bukowiec (Pasika) 848 m n.p.m. Następnie kierowaliśmy się na Mały Bukowiec 805 m n.p.m. Pożyczyłem Leszkowi czołówkę, bo słabo mu świeciła. Zeszliśmy do jaru na południowy-wschód. Następnie ze strony instruktorów padło pytanie "gdzie jesteśmy?". Weszliśmy na Mały Bukowiec pokonując problemy techniczne. Prowadzenie przejąłem ja. Zarządziłem 5 minut przerwy techniczno-logistyczno-hydraulicznej. Przejąłem czołówkę, pożyczyłem kompas od Stefana (bo mi się wolno wgrywał), poprosiłem inne osoby o zmianę baterii w czołówkach. Naszym celem była Mogiła 609 m n.p.m. (okolice Komańczy). Przechodzić mieliśmy przez Banię 702 m n.p.m. oraz Majkowski Wierch 617 m n.p.m. Plan był prosty: idziemy 300 m w kierunku północnym, potem odbijamy na wschód, idziemy w dół, z czasem teren się wypłaszcza, idziemy 700 m i skręcamy na południowy-wschód. Szliśmy bardzo powoli. Na pierwszej przerwie odbyło się przekazanie garów. Zaproponowałem zabawę, ale nikomu się nie chciało w niej uczestniczyć. Kolejną przerwę zrobiliśmy tuż przed Banią. Po około 5 minutach byliśmy na Bani. Wahałem się z decyzją, czy to Bania czy nieoznaczony pipant, bo teren był bardzo płaski. Ostatecznie podjąłem decyzję, że to Bania. Potem prowadzenie przejęła Wiktoria. Trochę pokluczyliśmy, aż znaleźliśmy grzbiet biegnący na wschód. Zeszliśmy z niego, zrobiliśmy ognisko. Było ono chyba najszybszym ogniskiem na wyjeździe. Poszliśmy spać. Na sen mieliśmy niecałe 2 godziny. Weszliśmy w śpiwory, bo nie było czasu nawet na rozbicie namiotów. I tak od czasu wyjścia z lasu był już świt. Następnie weszliśmy na Majkowski Wierch, gdzie odbyła się panoramka.

Prowadzenie przejęła Sylwia. Weszliśmy na Mogiłę. Następnie schodziliśmy. Po drobnych problemach ze znalezieniem grzbietu ruszyliśmy dalej. Wyszliśmy na Karpacki Szlak Rowerowy. Kierowaliśmy się na wschód do Komańczy.

Okazało się, że podana była zła godzina odjazdu pociągu. Mieliśmy czas na hydraulikę, pójście do sklepu itd. W tym czasie także opowiedzieliśmy referaty.

Wsiedliśmy do pociągu, którym udaliśmy się do Sanoka. Tam było króciutkie omówienie. Następnie wsiedliśmy do autokaru, którym udaliśmy się do Warszawy. W autokarze odbyło się indywidualne omówienie. Na szczęście udało mi się zdać z wynikiem pozytywnym. Cały wyjazd uważam udany. Pojawiły się liczne problemy natury wszelakiej, które na szczęście udało się w miarę na bieżąco rozwiązywać. Teraz czeka mnie przejście letnie. Zobaczymy, jak to będzie, ale jestem dobrej myśli.

W celu ochrony prywatności uczestników wyjazdu w niniejszej relacji zostały zamieszczone zmyślone imiona. ■

Opowieść o GSB

Maciej Hammer

Rok temu wyruszyłem w trasę liczącą pół tysiąca kilometrów - zimą, samotnie, przez polskie Beskidy, rozpoczynając pod granicą z Ukrainą, kończąc przy granicy z Czechami. Oczywiście chodzi o Główny Szlak Beskidzki, wisienkę na torcie szlaków górskich w naszych Beskidach.

Dlaczego zimą? Przymierzałem się już wcześniej do GSB, ale perspektywa spędzenia dwóch - trzech tygodni na szlaku latem nie była wystarczająco przekonującym wyzwaniem sportowym, jako że dzięki dobrej kondycji Beskidy traktuję jako góry do biegania, musiałem zatem podnieść nieco poprzeczkę.

Dlaczego samotnie? Tak jest wygodniej, logistycznie oraz kondycyjnie. Mimo tego miło jest jednak dzielić szlak z bratnimi duszami, zaprosiłem więc znajomych na wspólne odcinki weekendowe uprzednio zaplanowane na trasie.

Dlaczego Beskidy? Bo jestem od nich absolutnie uzależniony i nic na to nie poradzę.

- 498 kilometrów
- 19 dni w trasie
- 711 GOT SKG (663 GOT PTTK)
- -28 °C podczas noclegu w namiocie
- -37 °C odczuwalnej podczas marszu
- max 67 GOT jednego dnia
- zaspy do 3,5m wysokości (na Radziejowej)
- 2 zniszczone pary kijów trekkingowych
- kompletnie zdarty vibram
- 2 samochody wyciągnięte z rowów
- 6 wydojonych krów (tak się płaci za nocleg w Beskidzie Niskim)
- spalone 4 kg tłuszczu
- 9 km nocnej nawigacji na gwiazdy i topografię (mapa na pamięć, kompas w drzazgi)

Zamarznięty las, zamarznięte jedzenie, zamarznięta apteczka, cisza, wilki, lisy, kruki i niekończąca się trasa przed siebie. Bez nawigacji GPS.

Zaczęło się w sobotę, dwudziestego czwartego lutego rok temu. Dotarliśmy autostopem do Wołosatego, we trójkę - Justyna, Kamila i ja. Nie było porannej mgły, choć szanty w górach śpiewa się dobrze. Była za to sroga zima, tak zła, jak może być tylko w, nomen omen, lutym. O tym dniu słyszałem później od Leszka Piekło, wyjadacza beskidzkich szlaków - przez warunki meteorologiczne po raz pierwszy w swojej karierze musiał wtedy zawrócić z trasy i wrócić do cywilizacji.

Ale co tak właściwie się działo? Cóż, dopóki szliśmy lasem, ścieżka wyglądała spokojnie i kulturalnie, dopiero nad Przełęczą Bukowską, pozbawieni tarczy drzew, dostaliśmy lodową pięścią w twarz. Bieszczady przypominały Antarktydę, wiatr nieustannie przeczesywał grzbiety połonin, czesząc na nich sastrugi. Niósł też ze sobą sporo śniegu, konkretnie ograniczając widoczność. O rozpoznawaniu oznaczeń nie było mowy, szedłem na pamięć, rozpoznając rzeźbę terenu i okoliczne skały, mapę miałem w głowie, a trasę znam od dziecka. I nie było taryfy ulgowej - zima mogła była wtedy osobiście nachylić się nad Haliczem i dąć w nas wiatrem, takie przynajmniej mieliśmy wrażenie.

Na bieszczadzkich grzbietach zazwyczaj jest wietrznie, często bawiłem się tym zjawiskiem, kładąc się na wietrze, który swą siłą nie pozwalał mi paść na twarz. Tym razem był to jednak wicher zupełnie innej klasy. Wyobraź sobie wiatr, który plącze nogi, kiedy idziesz doń bokiem. Wyobraź sobie wiatr, który wdmuchuje powietrze z powrotem do płuc podczas wydechu. Wyobraź sobie wiatr, który szlifuje pokrywę śnieżną na gładko jak pasta polerska. I wychładza, sakramencko. Już pierwszego dnia nauczyłem się obsługiwać telefon nosem, zdjęcie rękawic skutkowało zbyt dużą stratą ciepła.

Ze wszystkim można sobie poradzić - iść, opierając się o wiatr jak o przewracającą się szafę, oddychając połową ust, z nosem zakrytym chustą, żeby nie przemarzł. Tak dotarliśmy na Halicz, dalej było tylko ciekawiej - na przełęczy goprowców śnieg był głęboki po pierś i sypki jak ruchome piaski, a na Tarniczku sterczały półtorametrowe nawisy. Słońce chyliło się już ku zachodowi, rozsądek wygrał więc z ambicją i zeszliśmy do Wołosatego, gdzie złapałem na stopa pług śnieżny do Ustrzyk. Później dowiedziałem się, że tego samego dnia z Caryńskiej zeszła lawina.

Czy mogę mówić o porażce, jeżeli już pierwszego dnia nie udało mi się zrealizować zaplanowanej trasy? Sportowo - tak, ale nie byłem sam, a prowadząc ludzi zawsze najważniejsze jest dla mnie ich bezpieczeństwo i nie był to pierwszy raz, kiedy zawracałem grupę w górach. I nie, nie zmieniłbym tej decyzji, a na pewno nie za diamentową odznakę PTTK. Sprowadziłem dziewczyny do bazy całe, zdrowe i zadowolone, miałem przed sobą kawał drogi, a poza tym do mojego autostopowego katalogu wehikułów wszelakich dołączył pług śnieżny. Zatem sukces!

Poprzedniego dnia z Caryńskiej zeszła lawina, dziś było już bardzo przyjemnie. Temperatura wzrosła z -26°C do -23°C, wiatr łaskawie złagodniał z 8 do 6 w skali Beauforta, buki skrzypiały jak pogańskie skrzypce, a w termosie krupnik mieszał się z herbatą.

Dziewczyny po pierwszym dniu górskiej próby wykazały klasę i dzielnie poszły dalej ze mną, a było warto, bo choć przez Bieszczady wciąż przewalał się wschodni front, od czasu do czasu syberyjski stratus rozrywał się na tyle szeroko, by można było nasycić oczy połoniną. Zaraz po wyjściu ponad krawędź lasu okazało się, że bez rakiet byłaby to płonna wyprawa. We Władcy Pierścieni jest scena, w której Drużyna przedziera się przez zaśnieżone góry, torując sobie drogę przez zaspy, a Legolas lekko skacze po ich szczytach. Tak mniej więcej wygląda porównanie piechura bez rakiet i z rakietami. Sprzęt co prawda nie pozwala ślizgać się po powierzchni pokrywy śnieżnej, bo człowiek z plecakiem waży swoje - ponad sto kilogramów w moim przypadku - ale zapada się po kostkę, nie po biodro, a to pozwala nazwać marsz marszem. Grzbiet połoniny oferuje dzięki swojej topografii sporo miejsc, w których można całkowicie schronić się przed wiatrem - są one przekleństwem paralotniarzy i zbawieniem turystów, jako że poza oczywistą możliwością odetchnięcia pozwalają też na swobodną rozmowę. Wiatr wyrywa słowa z ust i niesie je ze sobą, także pogaduszki w trasie wymagają częstej zmiany pozycji i koniec końców ludzie kręcą się wokół siebie jak bąki. Stoki połoniny oferowały za to pyszne warunki dla lawin, sztywne, przemrożone deski śnieżne na podkładzie z puchu tylko czekały na dodatkowe obciążenie jak bobsleje na pasażerów. Prowadzeniu ludzi przez teren lawiniasty zawsze towarzyszą dodatkowe emocje, zwłaszcza przy grupie, która po raz pierwszy ma do czynienia z taką przeszkodą. Justi z Kamilą były bardzo dzielne, zachowały nakazany szyk i bez paniki zeszły do ściany lasu. Mogłem je tylko chwalić. Dziewczyny towarzyszyły mi do Brzegów Górnych, skąd, po serdecznym pożegnaniu, wyruszyły na stopa do Krakowa. Ja zaś wskoczyłem na Połoninę Wetlińską, którą - według planu - miałem przejść tego dnia w całości, ale po szybkiej kalkulacji okazało się, że miałbym ostatnie półtorej godziny iść po ciemku, na co nie mogłem sobie pozwolić na potencjalnie lawiniastym terenie. Zatrzymałem się w Chatce Puchatka, która tego miesiąca wyglądała zupełnie inaczej, niż we wspomnieniach większości bieszczadzkich turystów. Ze ścianami oblepionymi śniegiem, zasypanymi oknami i zamarzniętymi kablami Chatka była wymarzonym schronieniem na godzi-

nę przed zachodem słońca. Nikt nie był w stanie jednak zastąpić Lutka Pińczuka jako gospodarza - drwa do kozy rąbałem sam, świetlica była zimna, a kiedy do środka wpadła para przemarzniętych narciarzy, przy czym on z hipotermią, "leczyłem" go własną herbatą i NRC-tą. Sytuacja zrobiła się dość nieoczywista, gdy szczypiąc toporkiem buczynę usłyszałem od jego dziewczyny, że "zastanawiała się, gdzie się podziali prawdziwi mężczyźni, a oni w górach po schroniskach siedzą". Gdy jej zupełnie-nie-prawdziwy facet telepał się na ławce pod ścianą. Tego wieczora mogłem już tylko dorzucać drwa do ognia.

Ustrzyki Górne - Połonina Caryńska - Brzegi Górne - Chatka Puchatka, 11,3 km / 23 GOT

Poniedziałek, dzień jak co dzień. Wstać ciężko, kawa parzy pysk, a potem cały dzień open space. Pełen śniegu i lodu. Przez całą noc śnieg otulił Chatkę Puchatka grubą kołdrą, wpełzając na drzwi i zaklejając okna, pozostawiając wnętrze w półmroku, jakby ktoś zaciągnął wełniane zasłony. Porankami powoli zaczęła kierować rutyna, prowadząc mnie od skręcania śpiwora po zakładanie rakiet. Ostatnim elementem stroju były okulary przeciwsłoneczne. Zimą? Owszem! Przy całym swoim uroku śnieżna połać potrafi w słoneczny dzień przyprawić o ślepotę, która zaczyna się delikatnymi czarnymi mroczkami w oczach i zawrotami głowy, mroczki zaś powoli rosną i powlekają oczy mrokiem. Nawet w okularach biel połoniny oszałamia. Przez górę prześlizgują się chmury, wygląda to trochę jakby stratusowe włosy czesały się o skały Osadzkiego Wierchu, pod Rohem zaś widać urocze, niemalże metrowe sastrugi. Rakiety trzeszczą, krusząc arcydzieła szadzi narosłe przez noc. Połonina jest cudowna. Utarło się przekonanie, że w języku Inuitów występują całe stada słów oznaczających różne rodzaje śniegu - i nie jest ono błędne. Język polski również jest w takie określenia bogaty, ale żeby miały one sens, trzeba się przekonać na własnej skórze, że śnieg śniegowi nierówny. Trzeba wpaść po kolana w szreń by docenić lodoszreń, odkryć śryż w butelce z wodą po godzinnym marszu na mrozie i błogosławić kaptur na głowie, gdy z gałęzi zleci okiść. Wtedy swoje bogactwo odkryje zarówno zimowa natura, jak i polszczyzna. Ze Smereka widać skutą lodem Solinę, pod górą czeka zaś Kalnica, a w niej jedno z miejsc, dzięki którym Bieszczady są Bieszczadami - dom Oli nad kalnickim bagnem, wnętrze prawdziwe jak twarze robotników, którzy schodzą tu z wypału po miesiącach spędzonych przy retortach. Blaty poznaczone obręczami kufli i pazurami noży, ściany jak otwarta księga gości, instrumenty, które nigdy nie zdążyły obrosnąć kurzem. Musiałem nasiąknąć tym duchem, bo kilka godzin później, gdy dotarłem do Cisnej podążając wilczym tropem przez Okrąglik, Siekierezada była zimna i zamknięta, a mój smutek głęboki. Kto nie zna tego wnętrza, ten nie był w pełni w Bieszczadach - i nie napiszę o nim nic więcej, bo słowa sobie z nim nie poradzą. Dzień kończę pod Honem, w bacówce PTTK, która po zmianie właściciela stała się sterylnym miejscem, wystrojem przypominającym bardziej ganek u babci niż schronisko górskie; obsługujące ją dziewczyny nie potrafią nawet wydać paragonu, ale pomimo zażenowania doceniam rzecz prostą - jest tam ciepło, a tego ciepła będę następnego dnia bardzo, bardzo potrzebować.

Chatka Puchatka - Smerek - Kalnica - Okrąglik - Bacówka pod Honem w Cisnej, 33 km / 43 GOT

Droga jest rzeką, rzeka jest drogą. Tak o trasie do Cisnej pisał Fredro w Trzy po trzy, podróżując w głąb Bieszczadów z Baligrodu. Co prawda miejscowość łączy już ze światem asfalt, ale utożsamiam się z tym stwierdzeniem wchodząc bladym świtem w zimny las. Będzie to bardzo żmudny odcinek, a zarazem ostatni fragment prowadzący przez Bieszczady. Otwarte przestrzenie połonin zostawiam za sobą, nie wiedząc jeszcze, co szykuje dla mnie Chryszczata. Zawsze miałem z tą górą na pieńku. W liceum, będąc topograficznym szczenięciem, zagmatwałem się w jej stokach październikową nocą, gdy las był po kolana zasypany śniegiem. Kilka lat później, na kursie przewodnickim, właśnie pod Chryszczatą dochodziłem do siebie po całodobowych manewrach kondycyjnych, po których podeszwy dosłownie odpadły mi od butów. Niezależnie od tego, ile razy nie wchodziłbym na tę górę, zawsze miała dla mnie niespodzianki - tym razem nie było inaczej, ale musiałem wyrównać zaległe rachunki. Zimne masy powietrza wciąż przelewały się przez Karpaty, i pomimo osłony buków syberyjski wiatr dawał mi się we znaki. Biorąc poprawkę na wychładzające działanie wiatru, odczuwalna temperatura tego dnia wynosiła -37°C, a sam marsz zajął mi ponad jedenaście godzin. Dlaczego tak długo? Wyobraź sobie zaspę, niewysoką, mniej więcej wysokości kanapy. Zaspa jest puchata i mięciutka, świeżo nawiana, pomimo rakiet wpadasz w nią po kolana. Przejście górą przez taki mebel nie jest wielkim osiągnięciem, nawet z załadowanym plecakiem. Udało ci się przebić przez zaspę, gratuluję! A teraz niespodzianka - trzy kroki dalej czeka kolejna. A za nią jeszcze jedna. I jeszcze jedna. I tak przez cały dzień. Wysoki Dział, łączący Cisną i Komańczę, jest najdłuższym pasmem górskim w polskich Bieszczadach, szlak zaś, podążając grzbietem, wystawia piechura zimą na bezustanne działanie wiatru, w tym profilowanie pokrywy śnieżnej - zaspy zalegające w poprzek trasy wyglądają z profilu niczym kręgi w plecach wielkiej bestii. Przebywanie ich było trochę jak bieg przez płotki na dystansie siedemnastu kilometrów. Na Przełęczy Żebrak robię sobie przerwę na ciepły napój, w ruch idzie bomba, palnik, w menażce topi się śnieg, po kwadransie udaje się zaparzyć wyrób herbatopodobny, ważniejsza od smaku jest jednak temperatura. Pomimo dwóch warstw rękawiczek palce są zgrabiałe i ruchy toporne, z pełnym termosem można jednak szturmować szczyt. Mijam widoczne przy szlaku krzyże, upamiętniające poległych w I Wojnie żołnierzy, mijam niewyraźnie widoczne okopy, wciąż ukrywające pod zbutwiałym listowiem szczątki, mijam niewidoczne zupełnie pozostałości podziemnych kryjówek UPA. Tego dnia proporcja żywych do umarłych na Chryszczatej wynosi jeden do tysiąca. Kiedy docieram na szczyt, opieram się o obelisk i wrzeszczę z radości. Żadne inne przeżycie na szlaku nie dało mi takiej satysfakcji jak wejście na 997 m n.p.m. Teraz już tylko w dół, przez Jeziorka do Duszatyna i spać... Wolne żarty. Po dotarciu do wsi, pod adres agroturystyki znalezionej wcześniej w sieci, okazuje się, że oferta była zdecydowanie nieaktualna. Zawiasy furtki potępieńczo skrzypią, dom stoi zimny i pusty, auto na podjeździe ma wybite szyby, a w środku zawiane jest śniegiem po kierownicę. U sąsiada ujada pies. Chwilę później dowiaduję się, że w Duszatynie noclegu nie znajdę, trzeba się więc zawinąć

© http://www.skg.uw.edu.pl

do odległej o półtorej godziny marszu Komańczy. Przez dziewięćdziesiąt bardzo długich minut mam wrażenie, że skóra odkleja mi się od stóp. Pośrodku wsi, przy głównej szosie, zauważam ogłoszenie o noclegach z dopiskiem "Zapraszamy turystów Głównego Szlaku Beskidzkiego" i dwa razy nie trzeba mnie namawiać. Wielokrotne dzwonienie do drzwi nie przynosi jednak efektów, choć widzę, że światło w domu się świeci. Patrzę - zaraz obok, nad wejściem do piwnicy, napis "Schron". Drzwi otwarte, wchodzę. Zrzucam plecak, zdejmuję rakiety, rozglądam się, wygląda na solidne schronisko. Jako że kolejna próba kontaktu z właścicielami skończyła się fiaskiem, a było już grubo po dziesiątej, uznaję, że poznamy i rozliczymy się rano. Robi mi się ciepło, więc zdejmuję kolejne warstwy i zaczynam się zadomawiać, czajnik, herbata, ojezujakietodobre, śpiwór, klapki, prysznic, szok.

Ciąg dalszy przygód Maćka możecie przeczytać na stronie www.skg.uw.edu.pl ■

Wartościowa - autor Anna Karczyńska

Logistyka Wczasów Krajowych i Zagranicznych cz. II: do Podwilka wróć

Paweł Marciniak

W numerze 30. Biuletynu SKG rozprawiłem się z trudną sztuką pakowania ze szczególnym uwzględnieniem potomstwa, które rzecz jasna, tej sztuki nie ułatwia. Redakcja otrzymała mnóstwo listów, więc wychodząc naprzeciw oczekiwaniom szanownych Czytelniczek i Czytelników czas na pogłębienie tematu.

Lato to zwyczajowo czas beztroskiego siedzenia na bazie, kiedy można się powylegiwać, wyspać, nadrobić zaległości czytelnicze, pokonwersować przy kotle na piecu, a w przypływie desperacji – choćby udać się w góry. Wszystko zmienia się jednak wraz z pojawieniem się latorośli. Wszystko, zaczynając od popularnego, acz jakże mylnego określenia „siedzieć" na bazie. Nocniczek do „Harcerzy", potem do potoku, potem odstawić, z powrotem do potoku umyć ręce i już wypoczywający rodzic jest gotowy na kolejne zadania (ugotować kaszkę, pozmywać po kaszce, przebrać dziecko po kaszce, zaprać ubranka po kaszce, albo choćby relaksacyjnie powrócić do potoku po masło i wodę (broń Boże za jednym zamachem! – będzie więcej chodzenia). Sama operacja „nocnik" szacunkowo pochłania około 350 kulasów (miara odległości opracowana przez swego

© http://www.skg.uw.edu.pl

czasu ograniczonych ruchowo rezydentów Bazy). Przekłada się to na około 160 metrów, co przy 8 wypróżnieniach na dobę i dwójce dzieci daje bez mała 4 kilometry marszu dziennie. A przecież siusiu do ledwie wierzchołek góry lodowej. Jeszcze odnieść sweterek, zanieść telefon do samochodu, przynieść gazetę z namiotu (by położyć na ławce, gdy jest mokra, bo przecież na czytanie pewnie nie starczy już czasu). Uwzględniając wszystkie potrzeby można śmiało założyć, że 20 kilometrów to jest dzienne minimum „siedzenia" na bazie. Aby aż tyle się nie nabiegać rodziny z dziećmi statystycznie częściej chodzą na wycieczki górskie.

Można od biedy skonstatować, że po to mamy nogi, aby chodzić. Ale po co nam wszystkie inne rzeczy, a zwłaszcza – jakie rzeczy? Bowiem co wziąć do Podwika to zupełnie osobna para kaloszy. Skoro już przy kaloszach – jak mawiają klasycy: „w Podwilku padało, pada lub padać będzie", tak więc ochrona przed wilgocią i zimnem konstytuuje podwilkowy tobołek. Ograniczone możliwości pralniczo-suszarnicze w porze deszczowej (jak wówczas suszyć?) i w porze suchej (skąd wziąć wodę do prania?) oznaczają, że trzeba zabrać prawdziwie wielką baterię ciuchów i ciuszków, jeśli nie chcemy spędzić urlopu na czatowaniu na „okno pralnicze" (kilkanaście godzin po ustaniu deszczu, a zanim zabraknie wody w potoku). Ostatnimi czasy pompa nieco rozładowała ten dylemat, ale i tak z reguły wychodzi 100-litrowy wór ciuchów na twarz (na pedantyczne układanie ubrań w walizeczki jakoś już nie starcza pary). A to i tak bywa za mało, jedno dziecko w ciągu jednego deszczowego dnia można przebierać choćby siedemnaście razy. Znane są dramatyczne historie, gdy matki widząc swoje dopiero co przebrane w ostatnie suche ubrania pociechy wpadające do kałuży wznosiły ręce do deszczowych niebios próżno szukając pociechy i grożąc rychłym opuszczeniem Bazy. Ergo, „pociecha" rozumiana jako najdroższe naszym sercom potomstwo nie jest najtrafniejszym określeniem.

W dobie powszechnej motoryzacji obfite pakunki, jakie familie zwykły zwozić na Bazę nie są problemem. Budowa parkingu dla autokarów pielgrzymkowych na tyłach wiaty, a także przygotowanie gruntu pod budowę pętli tramwajowej umożliwiają parkowanie choćby i 20 aut. Samo utkanie rzeczy w aucie może być wszakże problemem, ale to odsyłam do części pierwszej artykułu. Tu tylko zaapeluję o odrobinę kreatywności: bagaż nie musi jechać w bagażniku. Mnóstwo przestrzeni można znaleźć pod fotelami, nad dźwignią hamulca ręcznego czy wewnątrz opony koła zapasowego. Jedynym problemem może być nisko osiadający od przeładowania samochód: wyboista droga ze wsi do Bazy wręcz usiana jest urwanymi miskami olejowymi. Pozostaje jeszcze kwestia rozpakowania samochodu, które może zająć kilka dni (czasami nie udaje się do końca pobytu), ale na to już rady nie ma.

A przecież kiedyś było trudniej. Nie było tak lekkich i małych po spakowaniu śpiworków, lekkie polary i inne chemiczne tekstylia zastępowane były grubymi, wełnianymi wyrobami. W sklepie bida, więc jeszcze jakiś zapas jedzenia trzeba przywlec, a tymczasem tylko nieliczni przybywali limuzynami. Jak sobie zatem radzono? Klucz leży przede wszystkim w dyscyplinie oraz heroiczności ciała i ducha. Odwołując się do doświadczenia mojej mamy, która podróżowała z dwójką małych dzieci: najważniejsze to mieć wszystko w pięciu torbach. Jakoś tak mi utkwiła pamięci ta liczba, kiedy wszyscy odliczamy aby się upewnić, że nie zostawiliśmy czegoś w poczekalni, przedziale, pekaesie... Alokacja w środkach transportu była dziecinnie prosta: zawsze najpierw wychodziło pięć toreb, potem dwoje dzieci, a na końcu mama. A na ostatnich ośmiu kilometrach pod górę zawsze trafił się jakiś uczynny góral zionący odpowiednio już od poranka (z jakiegoś powodu trzeźwi górale nie byli równie pomocni). Rzeczywiście, mama miała logistykę wczasów krajowych w małym palcu i empirycznie dowiodła, że jedna dorosła osoba z dwójką dzieci może nieść najwyżej pięć toreb. I tej wersji się konsekwentnie trzymała. Jest jedno „ale": na nasze wczasy podróżowaliśmy zawsze do jakiejś sympatycznej gaździny, która układała nas gdzieś pod schodami, ale zapewniając jednak pryczę, strawę i dach nad głową. Baza jednak jest dalece bardziej wymagającym miejscem pobytu niż kwatera.

Oddajmy głos niemym świadkom wydarzeń z początku wieku (pewnie nie takim niemym, gdyby zapytać rodziców): „Do Bazy zawsze musieliśmy dojść. Dojście to była gehenna, marudziliśmy jak się dało, ale nic to nie pomagało. Jechaliśmy pociągiem do Krakowa, dalej busem gdzieś w Beskidy, by przez następne upojne dni przedzierać się przez pełne skisłego błocka, meszek i pokrzyw szlaki ku bazie. Namiot, cztery śpiwory, karimaty, łachy na całe „wczasy", wszystko, co się przyda na Bazie, a teraz jest zbędne, ale i tak nieść trzeba. I jedzenie. Są już „jumki" i chińskie zupki, suchary bieszczadzkie wraz z konserwami powoli odchodzą do lamusa, ale nadal triumfują na turystycznym stole gołąbki w sosie własnym w słoikach, od-

© http://www.skg.uw.edu.pl

grzewane na palniku (też sam się nie niósł). I czekolada. Mnóstwo czekolady. I cukierki – musiało być ich całkiem sporo w rodzicielskich plecakach, skoro za każdy zebrany ze szlaku śmieć należał się cukierek". W sumie jest co nosić. O zabawkach Łukaszek i Wojtuś mogli tylko pomarzyć.

Gdy już dojedziemy na Bazę trzeba wziąć pod rozwagę specyficzne potrzeby naszych najmniejszych Bazowiczów. Stan, kiedy znajdują się w objęciach Morfeusza jest iście błogosławiony, ale trzeba go zawczasu dobrze przygotować. Gdzie zatem położyć spać dziecko? Najprościej w namiocie i dobrze zasunąć. Tak uwięziony malec nigdzie nie spadnie, a nawet jak się obudzi to nigdzie sobie nie pójdzie. Ortodoksi z zaprzyjaźnionych klubów dodatkowo umieszczają pociechę w jakoby klatce z moskitiery, zasuwanej na suwak. W ten sposób jeszcze bardziej ograniczamy malcowi obszar penetracji w namiocie, co z reguły jest odwrotnie proporcjonalne do satysfakcji dziecka. W NSach czy Offisiu można spokojnie położyć dziecko na podeście i czekać aż spadnie. Szczególnie spektakularne są nocne „wturlania" między podest a tropik. Dziecko ląduje w kałuży błotnej pod podestem i ryczy wniebogłosy, a rodzic budzi się i słyszy rozpacz swojej latorośli, lecz nigdzie jej nie widzi i przez czas jakiś nie wie, gdzie jej szukać. Pewnym ułatwieniem może być stawianie nad śpiącym dzieckiem odwróconego łóżeczka turystycznego, co sprawia, że śpiące stworzenie przypomina zawodnika MMA w klatce. Naturalnie można także usypiać dzieci w samym łóżeczku czy wózku (jeśli się jeszcze wciśnie). W przypadku przenoszenia wózka ze śpiącym niemowlęciem nad kanałkiem trzeba szczególnie uważać, by nie wrzucić dziecka do owego rowu z cuchnącą wodą. Chociaż jak pokazało życie, nie jest to doświadczenie szczególnie zagrażające zdrowiu. Wreszcie, swego czasu dzieci usypiały przy ognisku w śpiworach na podeście wymontowanym z NSu, a gdy dorośli szli spać – wnosili wszystkie śpiące ciałka wraz z podestem do NSu, łagodnie, nie przerywając snu.

Patrząc tak na całokształt można by skwitować, że ciężkie jest życie świętego Mateusza w poście, przed postem i po poście. Nie mniej jednak co roku człowiek wraca na te stare rupiecie przywlekając swoją familię, a w ciągu roku odlicza czas dzielący do lata. Niejedni dzisiejsi Bazowi jako młokosi byli tak samo ciągani do Podwilka przez swoich zatroskanych rodziców, co dobitnie świadczy o żywotności podwilkowego wirusa. Nie ważne jest więc jak się spakujesz. Ważne, byś znalazł wystarczająco miejsca w bagażu na pogodę ducha. Bo liczenie na zwykłą pogodę w Podwilku jest ryzykowne. ■

Przepisy kulinarne

GAD Z OGNISKA

Marta Sikora

Składniki na 6-7 sztuk:

- 0,5 kg mąki,
- 2 łyżki oleju lub roztopionego masła (można pominąć),
- 40 g świeżych drożdży lub 20g suchych,
- ok. 1 i 1/3 szklanki letniej wody,
- pół kubka cukru,
- szczypta soli,
- cynamon i cukier do posypania lub maczania przed jedzeniem,
- dodatkowo: patyki do pieczenia (grubsze od tych na kiełbaskę)

Do 1/2 szklanki wody dodajemy drożdże, ze 2 łyżki cukru i około 3 łyżki mąki, przygotowywany rozczyn mieszamy i pozostawiamy do podrośnięcia. W międzyczasie do miski wsypujemy mąkę, pozostały cukier i sól. Następnie do przygotowanych składników dodajemy wyrośnięty rozczyn. Całość wyrabiamy około 15 minut, na koniec dodajemy roztopione masło lub olej. Jeśli nie mamy, to nie dodajemy. Gotowe ciasto odstawiamy w ciepłe miejsce, by podwoiło swoją objętość. W międzyczasie rozpalamy ognisko. Kiedy ciasto wyrośnie, dzielimy je na części. Z każdej części formujemy cienki wałek, który następnie owijamy wokół kijka. Tak uformowane bułeczki pieczemy około 15 minut nad przygotowanym ogniskiem. Najlepiej jeśli jest to rozgrzany żar, a nie płomienie. W trakcie pieczenia bułeczki okręcamy, by równomiernie się opiekały. Gotowe ściągamy z patyka i pożeramy, maczając w cukrze z cynamonem.

PLACKI Z POKRZYWY

Składniki:

- 10 garści młodych pokrzyw (całe gałązki 15-20 cm od szczytu)
- 2-3 łyżki mąki pszennej
- Szczypta soli
- Olej do smażenia

Opcjonalnie:

- Sos z cytryny
- sos czosnkowy do podania
- Jajko

Opłukaną i osuszoną pokrzywę szatkujemy drobno, wsypujemy do miski, oprószamy lekko mąką i solą, skrapiamy wodą i mieszamy, aż mąka wchłonie wilgoć i zacznie zlepiać pokrzywy. Kleistą masę nakładamy na patelni z rozgrzanym olejem, formujemy zgrabne placuszki i smażymy na złocisty kolor, aby nabrały chrupkości.

PIEROGI Z JAGODAMI/JEŻYNAMI/POZIOMKAMI/GRZYBAMI lub czymkolwiek bądź co można znaleźć w okolobazowych chaszczach

Składniki:

- 500 g mąki pszennej typ 450
- 1 łyżeczka oleju
- 1 łyżeczka soli
- 280 ml ciepłej wody

© http://www.skg.uw.edu.pl

Jeśli mamy czym, przesiewamy mąkę. Dodajemy do niej letnią wodę, sól i olej. Początkowo ciasto mieszamy lekko szpatułką. W końcu zaczynamy wyrabiać je rękoma przez ok. 15 minut tak, aby było elastyczne i miękkie. Następnie dzielimy ciasto na części i kolejno rozwałkowujemy na cienki placek (około 2 - 3 mm), obsypując w razie potrzeby stolnicę mąką. Małą szklanką wycinamy kółka, rozciągamy je trochę w palcach, następnie na środek nakładamy po jednej czubatej łyżeczce farszu. Składamy na pół i zlepiamy dokładnie brzegi. Układamy na stolnicy. W dużym garnku zagotowujemy osoloną wodę. Gdy będzie mocno wrzała, wkładamy pierwszą partię pierogów (około 15 sztuk). Gotujemy pierożki przez około 2 minuty licząc od czasu wypłynięcia ich na powierzchnię wody (do czasu aż ciasto będzie miękkie, sprawdzamy palcem wyławiając jednego pieroga). Wyłowić łyżką cedzakową na talerz.

■

Mirosław poleca

. . . czyli turystyczne palce lizać (z Bazową implikacją)

Paweł Marciniak, Mirek Sidorowicz

Śniadanie na słono zawsze było piętą achillesową klubowego menu turystycznego. Owszem, można jeść kanapki (szczególnie atrakcyjne piątego dnia zimówki, gdy chleb przybiera formę okruchów dla łabędzi, a sorbet ogórkowy nie daje się pokroić w plasterki) albo gotowych potraw liofilizowanych (ale co to za sztuka jeść żarło z torebki, nie trzeba w tym celu zapisywać się na kurs przewodnicki). Kasze, kuskusy, płatki, granole. Wszystko oblepione rodzynkami, żurawiną, okapujące złocistym miodem czy syropem z agawy, plasterki zmiażdżonego banana, orzechy włoskie, nerkowce . . . ze śniadaniami na słodko problemu nie ma. A leniwi mogą raczyć się pyszną kaszką ryżową. A co mają powiedzieć miłośnicy smaków wytrawnych?

Do takich należę ja. Myślałem bardzo intensywnie przez 10 długich lat. Aż wpadłem na trop. Z czego składa się ciepłe śniadanie uchodzące za typowe? Ano z produktów pszenicznych, cebuli, boczku, kiełbaski, bekonu, jaj i innej maści nabiałów. I co z tego może powstać? Śmietana, jaja, czosnek, boczuś. . . dodać do makaronu i eureka! No bo kto powiedział że sycąca i pożywna carbonara nie może być na śniadanie? A nawet jeśli ktoś powiedział, to co mi zrobi. Włoskim górnikom dawała siły do ciężkiej pracy na przodku, to i polskim turystom da energię na cały dzień łojenia (a w przypadku śnieżnej zimy – również do fedrowania na przodku zwanego torowaniem).

I tak typowa bazowa potrawa może znaleźć nowe zastosowanie w bardziej turystycznej odsłonie, którą przygotował, przetestował i udoskonalił Wirtuoz Kociołka i Menażki we własnej osobie, Mirosław Sidorowicz. A zatem do dzieła

Składniki na 3 porcje:

- 2 małe cebulki
- 150g boczusiu wędzonego
- 3 ząbki czosnku
- 250ml śmietanki
- 350g makaronu
- 100g startego parmezanu
- Zioła prowansalskie, sól, pieprz

Sprzęt:

- Kociołek
- Patelnia (w tej roli niezawodnie pokrywka od kociołka bądź forma do pizzy)

Jaj w tym przepisie zaniechaliśmy i też wyszło wybornie. Ale nie musimy rezygnować. Hardkorowcy mogą wtłuc jaja wraz z salmonellą do butelki typu PET. Można też kupić imitację jaj czyli jaja w proszku

Przygotowanie:

Ugotować makaron zgodnie z zaleceniami producenta. Obsmażyć na patelni boczuś, odłożyć w krzaki. Na wytopionym tłuszczu najpierw podsmażyć pokrojony w kostkę czosnek, by z lekka zmiękł, ale nie zrumienił się. Następnie dodajemy cebulę. Boczuś wyjąć z krzaków i dodać, doprawić ulubionymi przyprawami, solą i pieprzem, a następnie dolać śmietankę. Całość niechaj chwilę pobulgocze. W tym czasie makaron odcedzamy, mieszamy z sosem i zjadamy póki ciepłe!

© http://www.skg.uw.edu.pl

Czas przygotowania: 20-30 minut

Złote rady:

Parmezan można zetrzeć w domu (bądź kupić tarty). Boczek również można zabrać w góry w formie pokrojonej. Pokrojony wcześniej ser i boczek lepiej przewozić w twardych opakowaniach typu karton po soczku. Cebulę lepiej obierać i kroić na miejscu – obrana cebula silnie reaguje z otoczeniem. Śmietankę można kupić w zakręcanych pojemniczkach (takie jak na mleko, tylko małe) bądź przelać do małej buteleczki (wtedy łatwiej nam się zepsuje, więc trzeba pamiętać o właściwym zapasie węgla w apteczce)

Charakterystyka 1 porcji:

Waga	Cena	Wartość energetyczna	Węglowodany	Białka	Tłuszcze
350g	7,00zł	1000kcal	100g	38g	180g

Masz sprawdzony przepis? Ulubiona potrawa? Oryginalny patent? Ciekawe urozmaicenie? Podziel się własnym spécialité de la maison i prześlij przepis do Redakcji (pawel.marciniak@skg.uw.edu.pl). Włącz się w dzieło tworzenia Wielkiej (albo Niewielkiej, wyjdzie w praniu) Księgi Kuchni Turystycznej SKG! ■

Podejściówka czy buty za kostkę?

Grzegorz Kaczmarek

Tytułowe pytanie spędza sen z powiek wielu osobom planującym zakup obuwia turystycznego. Był to problem, z którym jako sprzedawca w sklepie turystycznym stykałem się na co dzień. Jak wiadomo dobrze dobrane buty warunkują komfort wędrówki, więc warto dokładnie przyjrzeć się temu zagadnieniu.

Zacznijmy od tego, skąd wziął się pomysł na chodzenie po górach w butach podejściowych. Pierwotnie były one przeznaczone dla osób, które drogę do miejsca startu wspinaczki chciały przejść w lekkim obuwiu. W konsekwencji po założeniu pary przeznaczonej na skały, udawało się zaoszczędzić na wadze i kompresji plecaka. Z czasem odchudzone wagowo buty zaczęły "przenikać" do szerszego użytku. O ile jeszcze jakieś 15 lat temu chodzenie po górach w butach podejściowych nie było popularne, to obecnie jest zupełnie inaczej.

Jeżeli rozważasz zakup niskich butów, na wstępie zastanów się, w jakich porach roku chcesz je użytkować. Dla osób zaznajomionych z turystyką jest to oczywiste, ale dla porządku pozwolę sobie przypomnieć, że nawet w niskich górach, takich jak Beskidy, pory roku są nieco przesunięte. Zima zaczyna się wcześniej i trwa dłużej. Należy też wziąć poprawkę na aktualny stan gruntu. Błoto wymusza rezygnację z podejśćiówek, które szybko "toną", a co gorsza rzadko są kompatybilne ze stuptutami.

Oczywiście w każdym roku aura jest nieco inna, ale zasadniczo w Beskidach sezon na podejściówki zaczyna się w maju, a kończy we wrześniu. Oczywiście bywają "odstępstwa od normy", jak choćby bardzo deszczowy wrzesień 2017 roku bądź słoneczny październik 2018.

W okresie wiosennym i letnim lżejszy, lepiej oddychający niski but jest bardzo dobrym pomysłem. Oczywiście między majem a sierpniem możesz trafić na gorszą pogodę, lecz masz większą szansę na w miarę szybkie osuszenie obuwia. Z uwagi na zwyczajowo panujące temperatury będziesz odczuwał większy komfort, jeśli zrezygnujesz z butów za kostkę. Jeżeli wybierasz się na via ferraty, to tu także przydadzą się podejściówki. Podczas pokonywania tras bogatych w elementy wspinaczkowe takie rozwiązanie da Ci większą swobodę.

Jeśli chodzisz z cięższym plecakiem (powyżej 10-15 kg), miałeś kontuzję stawu skokowego albo często masz do czynienia z chaszczami (patrz kurs przewodnicki SKG) powinieneś kupić but, który będzie stabilizował kostkę i chronił dolną część nogi. Przy lekkim plecaku, braku problemów ze stawami i/lub wzmocnieniu ścięgien w wyniku regularnego biegania możesz bez obawy sięgnąć po płytsze obuwie.

Kiedy zdecydujesz się na kupno podejściówki, kolejnym problemem jest kwestia membrany. O ile praktycznie każdy wyższy but trekkingowy będzie ją posiadał, to krótkie są często produkowane w dwóch wersjach. Zagadnienie czy kupować but podejściowy z czy bez membrany jest bardziej problematyczne niż pytanie, które zostało postawione na początku. Należy rozważyć tutaj dwie kwestie.

1. Gdzie i kiedy będziemy użytkować nasze obuwie. Jeśli będziemy mieli do czynienia z temperaturami sięgającymi około +25 stopni i wyższymi, należy zrezygnować z membrany, ponieważ nie będzie już dobrze działać w takich warunkach. Idealnym przykładem może być tutaj trekking na półwyspie Iberyjskim szlakiem do Santiago de Compostela (niektóre odcinki tej trasy mają taki charakter, że najlepszą opcją są sandały trekkingowe). Wyjątkiem od tej zasady są miejsca, w których masz dużą szansę na ukąszenie przez węża czy inne jadowite zwierzęta. W takim wypadku lepiej zadbać o osłonięcie okolicy kostki.

   Jeżeli podczas wyjazdu będziesz miał do czynienia z temperaturą +20 stopni lub niższą oraz z wilgocią, to warto zainwestować w buty z membraną. Takie rozwiązanie sprawdzi się idealnie np. na walijskich "pagórkach".

   Czasem trafiają się góry, które są położone w rejonach o bardzo ciężkim klimacie jak np. Atlas. Tutaj sprawa jest o tyle prosta, że membrany nie stosuje się w butach przeznaczonych zarówno do chodzenia w skrajnie wysokich temperaturach jak i bardzo wysokiej, "tropikalnej" wilgotności.

2. Jaka jest potliwość Twoich stóp. Jeżeli właściwe "zawsze" jest Ci ciepło, to granica "tolerancji termicznej" przesunie się w Twoim przypadku do +15 czy też +20 stopni. Oznacza to, że wcześniej możesz zrezygnować z membrany. Jeżeli nie zaobserwowałeś takiego zjawiska, to przy wspomnianych wyżej tem-

© http://www.skg.uw.edu.pl

peraturach większy komfort odczujesz w butach z membraną.

Kolejnym problemem będzie twardość podeszwy. Tutaj twój wybór powinien być uzależniony od tego, gdzie zamierzasz chodzić. Tam gdzie występuje dużo skał, bezdyskusyjnie powinieneś zadbać o to, by but był twardy. Jeżeli jesteś w stanie bez większego wysiłku zgiąć lub skręcić podeszwę, to lepiej nie jechać z nimi w Tatry. Przy dłuższym użytkowaniu zbyt miękkiego buta w skalistym terenie możesz nadwyrężyć ścięgna. Z kolei jeżeli wybierasz się w Beskidy, nie koniecznie musisz kupować najtwardsze modele. Niezależne od tego gdzie dokładnie się wybierasz, but powinien mieć gumowy otok zabezpieczający przed uszkodzeniami mechanicznymi oraz chroniący stopę.

Podsumowując chodzenie w podejściówkach nie jest "herezją", ale jeżeli decydujesz się na takie rozwiązanie, musisz zdawać sobie sprawę z jego zalet i wad. ■

Opcja na weekend

Grzegorz Kaczmarek

Chcesz wyskoczyć na weekend w góry, szukasz pomysłu na trasę i chcesz uniknąć tłumów? No to jedziemy w Beskid Żywiecki, ale ten mniej znany ;)

Kosciol w Lachowicach

Z Warszawy ruszamy pociągiem do Suchej Beskidzkiej lub Krakowa, gdzie łapiiemy busa do Lachowic. Na miejscu warto poświęcić trochę czasu na zwiedzanie pięknego drewnianego kościoła pw. Świętych Apostołów Piotra i Pawła wybudowanego w końcu XVIII wieku.

Kilkaset metrów dalej znajduje się stacja PKP, gdzie swój początek ma niebieski szlak, który w ciągu około czterech godzin doprowadzi nas na Jałowiec. Po drodze przejdziemy przez przełęcz Cichą, na której w trakcie II wojny Światowej znajdował się posterunek na granicy III Rzeszy i Generalnego Gubernatorstwa. Liczący 1111 m n.p.m. Jałowiec to bardzo widokowe miejsce obfitujące w jeżyny.

Stąd jest już niedaleko do kolejnej góry na naszej trasie – Mędralowej (1169 m n.p.m), która jest najbardziej na północ wysuniętym punktem Słowacji. Dojdziemy na nią po około dwóch godzinach przez przełęcz Klekociny. Początkowo będą nam towarzyszyły znaki żółte, a następnie zielone. Po dotarciu do granicy trzeba jeszcze przejść około pół kilometra by dotrzeć do ogólnodostępnego pasterskiego szałasu, obok którego znajduje się źródło wody. Z tego miejsca także jest co podziwiać.

Jeżeli masz siły, czas i chęć to warto poświęcić jeszcze mniej więcej godzinę by dalej podążyć szlakiem granicznym i zatrzymać się w bazie namiotowej SKPB Katowice „Głuchaczki" usytuowanej opodal przełęczy o tej samej nazwie. Jeżeli wybierzecie się tutaj poza sezonem letnim, to baza będzie nieczynna, ale można skorzystać z obszernej wiaty, łąki i strumienia.

Szalas na Medralowej

Kolejnego dnia startujemy z bazy i przechodzimy znakowaną ścieżką przez granicę. Po kwadransie znajdujemy się już w dolinie rzeki Polhoranki (Jałowieckiego potoku), gdzie pojawiają się asfalt i żółte znaki, które po 7 kilometrach zaprowadzą do wsi Oravská Polhora (Orawska Półgóra), gdzie można wstąpić do sklepu.

Widoczek z Pilska

Po dojściu do głównej drogi trzeba skręcić w prawo i przejść jeszcze 1,5 kilometra do miejsca, gdzie zaczyna się niebieski szlak. Prowadzi on przez las aż do Skaliska, gdzie pojawiają się zielone znaki. Stąd już tylko około pół godziny do Pilska. Ten drugi najwyższy szczyt Beskidu Żywieckiego mierzący 1557 m n.p.m. jest moją ulubioną górą

© http://www.skg.uw.edu.pl

w tym paśmie. Darzę go sympatią, ponieważ wchodziłem na nią już kilkakrotnie i zawsze trafiała mi się wspaniała pogoda. Dzięki temu w pełni mogłem podziwiać rozległą panoramę. Przy dobrej pogodzie bez trudu ujrzysz Zalew Orawski, Babią Górę, Romankę i wiele innych szczytów.

Kontynuujemy marsz pośród kosodrzewiny aż do granicy, po czym żółtym szlakiem schodzimy do Schroniska na Hali Miziowej. Jest to dobry moment żeby zjeść coś konkretniejszego i zaliczyć „tankowanie" :)

Dalej czeka nas jeszcze około godzinne zejście do Korbielowa wspomnianym wyżej szlakiem. Tutaj łapiemy bus do Żywca, Suchej Beskidzkiej lub Krakowa po czym wsiadamy w pociąg do Warszawy.

Proponowana trasa nie jest przeznaczona dla osób stawiających w górach pierwsze kroki i wymaga niezłej kondycji fizycznej. Jeżeli tylko posiadasz jakieś górskie doświadczenie, a sprint do autobusu/tramwaju nie jest jedyną formą twojej aktywności fizycznej, to z pewnością sobie poradzisz.

Można ją również zrealizować w zdecydowanie krótszej wersji. Wystarczy kontynuować marsz szlakiem granicznym, a następnie odbić żółtym bezpośrednio do Korbielowa. Jeżeli zamierzacie zrealizować ten wariant, to poprzedniego dnia możecie zanocować w schronisku Zygmuntówka położonym niemalże na samej przełęczy Klekociny. W takim kształcie trasa nie powinna przerosnąć nawet początkujących. Niezależnie od tego, którą opcję wybierzecie, ewentualnie za wyjątkiem rejonu Hali Miziowej, nie spotkacie „dzikich tabunów" ludzi.

Poniżej szczegółowy przebieg trasy:

D1: Lachowice -)(Cicha - Jałowiec -)(Klekociny - Mędralowa – Baza SKPB Katowice Głuchaczki. (19,5 km 28 GOT)

D2: Baza SKPB Katowice Głuchaczki - Orawska Półgóra – Skalisko - Pilsko – Schronisko na Hali Mizowej – Korbielów (26,5 km 35,5 GOT)

■

Rzeczywistość alternatywna

Paweł Marciniak

Droga bardzo dobrze znana, choć w zimowej scenerii wszystko wygląda inaczej. W grubej pokrywie śniegu gubią się kluczowe detale, odznaczające drogę z Podwilka do Bazy: wystający duży kamień, kilka cegieł na środku, na które trzeba szczególnie uważać jadąc autem, ule, źródełko .... Co tam, jest tyle śniegu, że nawet nie sposób znaleźć ostrego zakrętu w prawo, a potem w lewo. W zasadzie nie wiem, czy idziemy drogą czy też torujemy tuż obok, wszystko jedno.

Bazy udaje się jednak nie przeoczyć. Nie ma co prawda bramy, NS-ów, uroczej rozłożystej zagrody z niebieskiej plandeki, łopoczącej na wietrze jak żagiel Santa Marii u wybrzeży nowo odkrytego kontynentu, ale jest wiata. A w wiacie, jak to we wiacie: tłoczno, gwarno, żywo. Z pieca bucha, produkcja wrzątku idzie pełną parą. Trąca mnie Pina niosąca drewno do pieca. Nad czajnikami Marek i ktoś jeszcze w puchówce grzeją zmarznięte dłonie. Robert nie może się doczekać na wrzątek przestępując z nogi na nogę, a Pan Janusz i Asia usiłują się skupić na grze co i rusz strzepując świeży śnieg z karcianego ręcznika. Jest jeszcze wiele innych ludzi, którzy są jakby znajomi, ale ich nie poznaję. Zresztą ja jestem dla nich jakby niewidzialny. Wreszcie zagaduje mnie Agnieszka:

- Oo, to wy tu?
- No, yyy, my tak. A wy też? Tak w zimie?
- No a jak, jak co roku!

Patrzę, a tu jednak stoją wszystkie NS-y, między namiotami a wiatą plątanina ścieżynek wydeptanych w śniegu. Nawet brama stoi! No ładnie, okazuje się że co roku Baza jest rozkładana na jeden tydzień zimowych ferii akademickich, przypadających zazwyczaj w lutym. I to od kilkunastu lat. I wszyscy wtedy przyjeżdżają. Wszyscy. Tylko dlaczego ja o niczym nie wiedziałem?

Robert nalewa wrzątku do kubków i termosu, robi się trochę luźniej przy piecu. Dostrzegam wszędzie suszące się buty narciarskie i przemoczone papierowe ski-passy. Ale i tak jest tłok, większość ludzi jest znajoma, ale jak to we śnie, nie do końca wiadomo kto jest kim. Helmuth krzyczy z niebieskiego NS-a, że załatwił na jutro rano ski-busa do Korbielowa. Bo narty na Pilsku to podstawowe zajęcie na zimowej Bazie.

Nie wiem jak inni, ale dla mnie życie bazowe i życie pozabazowe funkcjonują jakby w zupełnie odrębnych wymiarach, które nie mają wiele punktów wspólnych. Pewnych rzeczy typowych dla Bazy po prostu nie robi się poza nią. I nie dlatego, że się nie da, po prostu taki pomysł wydaje się z gruntu niedorzeczny i nawet nie pojawia się w formie najmniejszego impulsu elektrycznego pod czaszką. I odwrotnie też. Będąc na Bazie czuję, jakby to właśnie było prawdziwe życie, a cała reszta to tylko jakieś rojenia, zwidy, no czasem nawet koszmary. W każdym razie nic realnego. I vice versa. Tyle że ten odwrotny stan trwa jednak ciutkę dłużej. I często się dłuży okrutnie. „Jeszcze 3 tygodnie i dobiegniemy do półmetka okresu bezpodwilkowego", „oo, do rozkładania już bliżej niż dalej od składania" ... A w tym czasie (międzyczasie ???) tylko sny mogą nas prze-

© http://www.skg.uw.edu.pl

nieść znowu do lata. Jak choćby ten, z przedwczoraj (15 maja 2019 – przyp. red.):

Początek czerwca. Cała rodzina nie może już usiedzieć na przysłowiowych czterech literach. Marta wreszcie oznajmia z furią: ile można czekać ! jedziemy ! Ale jak to, teraz?

Wzięliśmy, co mieliśmy pod ręką (nie wyłączając kompletu potomstwa) i wyruszyliśmy ku Bazie. Dręczyły nas wątpliwości, co my tam będziemy robić sami przez miesiąc. A że zanim sezon się zacznie i wszyscy się zjadą, to my będziemy już mieli dosyć Podwilka, że to bez sensu itp. A jednocześnie rozpierała nas taka kolosalna radość, że za chwilę zrealizujemy naszą nieodpartą pokusę. Zabierzemy zestaw weekendowy. Rozbijemy nasz malutki, dziurawy namiot. I szliśmy tak ku Bazie poprzez zielone łąki, zagajniki, potoki. I dołączały do nas kolejne osoby, Magda, Rafał, Łukasz, Józek... za chwilę szedł nas już prawdziwy tłum, pochód. Jak to we śnie, nie wszystkich się rozpoznaje, ale wiadomo, że wszyscy swoi, bazowi. A potem oczywiście budzik, 6:15 i nie wiadomo, co było dalej. Ale myślę, że doszliśmy. Tak czy inaczej, pochód ku jubileuszowemu sezonowi w Podwilku uważam za rozpoczęty. Do zobaczenia! ■

© http://www.skg.uw.edu.pl

Poezja górami podszyta

Jesień Bieszczady otula

Jesień Bieszczady otula
Pstrokatym szalem liści
Kładzie plamy koloru
Niczym impresjoniści.

Ref.
Rdzawe zbocza pali słońce,
Wicher złote czesze trawy,
Idę poprzez połoniny
Wciąż tak samo gór ciekawy.
Chłonę góry każdą myślą,
Tu naprawdę mogę żyć.
Tam nie mam nic, mając wszystko,
Tu mam wszystko, choć nie mam nic.

Kolejny dzień się budzi,
Cichy szlak na mnie czeka,
Uciekam w góry od ludzi,
Aby odnaleźć człowieka...
Ref.

Tarnicę mgła pokrywa,
Wciąż tak samo od wieków
Chroni przed intruzami
Muzę bieszczadzkich poetów.
Ref.

Podążam znów przed siebie,
Po prostu dla zasady.
Dokąd mam uciec w diabły,
jeżeli nie w Bieszczady?
Ref.

Renata Okońska

Poranek w Gorcach...

Według czasu gorczańskiego dziewiąta.
Inny czas mnie dziś nie ciekawi...
Od świtu po kuchni się krzątam,
Aby zbudzić Cię zapachem kawy...

Wstałam cicho, prawie bezszelestnie,

By rozpalić chatkowe ognisko.
Reszta świata dziś nie istnieje,
Gdy tu jesteś, mam przecież wszystko...

Patrzę, jak śpisz otulony śpiworem,
Czas na ściennym zegarze ucieka,
A ja marzę, aby się zatrzymał...
Turbacz, Gorc mogą na nas poczekać...

Przed nami jeden dzień, kilka szlaków...
Chociaż chciałabym mieć Cię więcej...
Może zbiorę w sobie dość odwagi,
Aby wyznać, co kryje serce...

Anonim

Przemawia własnym językiem - autor Anna Karczyńska

© http://www.skg.uw.edu.pl

Na polskiej Orawie,
w niewysokiej trawie,
każdy odwiedzić może,
"Madejowe Łoże"
Przy potoczku stoi wiata,
w niej "ściana łaciata",
To nasz skrawek nieba,
do którego wracać warto,
a nawet trzeba!

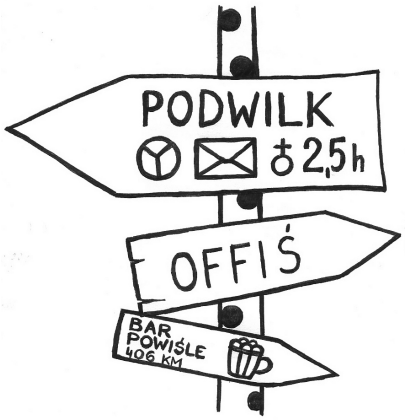

Baza Namiotowa "Madejowe Łoże" powstała w lipcu 1989 roku z inicjatywy Studenckiego Klubu Górskiego i Oddziału Międzyuczelnianego PTTK. Położona jest u stóp Madejowej w dolinie Potoku Bębeńskiego niedaleko wsi Podwilk w województwie małopolskim, w powiecie nowotarskim, w gminie Jabłonka. "Madejowe Łoże" jest jedynym tego typu obiektem między Babią Górą a Gorcami, co bardzo ułatwia życie turystom wędrującym z zachodniej części Beskidu Żywieckiego w Gorce. Jest znakomitym miejscem wypadowym na Babią i Policę, może być także świetnym przystankiem przed wyłaniającymi się zza chmur Tatrami. Czynna jest przez dwa miesiące wakacji: rozkładana w ostatni weekend czerwca lub pierwszy weekend lipca, a składana na przełomie sierpnia i września. Przez cały okres wakacyjny nad "Madejowym Łożem" czuwają bazowi, a nad bazowymi - Nadbazowy wraz z rodziną czyli klan Staniszewskich, którzy wiedzą o niej wszystko... Baza udostępnia do spania mniejsze i większe namioty, wyposażone w materace, zapewnia dostęp do kuchni polowej, jadalni, prysznica polowego oraz niebanalnego WC w postaci drewnianego wychodka z elegancką deską. Tych wszystkich, którym warunki polowe nie są obce, tych którzy chcą odpoczywać w ciszy, spokoju, ale w wyborowym towarzystwie i w pięknych okolicznościach przyrody:

Dawno temu w błocie...

Historia "Madejowego Łoża" sięga 1989 roku. Autorami idei, aby Studencki Klub Górski (pod egidą Oddziału Uniwersyteckiego PTTK) zorganizował i prowadził bazę namiotową na Orawie, byli Rapsond (Agnieszka Respondek) i Butold (Witek Kowalski). Zresztą nie tylko idei - gdyby nie ich zapał w pokonywaniu biurokratycznych przeciwności losu, baza pewnie nigdy by nie powstała. Zapewne aby odreagować walkę z papierami, Butold osobiście wykopał system rowów melioracyjnych. Ich obecność sprawiała, że czasami można było chodzić po Bazie bez gumiaków. Ślady tych rowów, niczym okopów konfederackich, istnieją do dziś - zastanawiam się, czy nie wpisać ich w rejestr zabytków...

Dziś już mało kto pamięta, jak zapadła ostateczna decyzja o jej lokalizacji - różne krążą o tym legendy. Czy rzeczywiście jedna z uczestniczek zimowej wycieczki na Orawę z wrażenia potknęła się na widok uroczej polanki i złamała nogę?... No cóż - werdyktu Opatrzności nie można było zbagatelizować: począwszy od lipca 1989 roku, mała, otoczona świerkowym lasem polana ożywa co roku na dwa letnie miesiące. ■

Krótki paszkwil nt.: Jedynie prawdziwa historia powstania bazy

Biuletyn SKG nr 3 – zima 1994

Blitz

– Psiakrew – zaklął zbój Madej i przeciągnął się, aż zatrzeszczały jego może-znowu-nie-tak- bardzo-stare, ale za to do cna zreumatyzowane kości. Siedział na Krowiarkach już trzeci dzień, a nie trafił mu się żaden łup godny zachodu czy wschodu. Hej, nie tak to bywało za nieustraszonego barona De Vischek'a, który zbójcom życie umilał nieustannymi pościgami i obławami. Teraz baron w jakiejś

© http://www.skg.uw.edu.pl

tam Warszawie na kierowniczym stanowisku, podróżnych i kupców mało, a Madejowi nóż zaśniedział i toporek rdzą się pokrył. Już nawet nie ma do kogo gęby otworzyć i kilku słów zamienić, nie mówiąc o obrabowaniu kogo czy torturowaniu na budzącym grozę Madejowym Łożu.

Gdy tak dumał o ciężkich czasach transformacji ustrojowej, szmer jakiś niezwykły usłyszał i nagle stanął przed nim rycerz jakowyś straszliwy. Uzbrojony był po zęby. Na ekwipunek jego składał się hełm wielki, osmolony straszliwie, siekiera potężna, a wyszczerbiona na wrażych łbach okrutnie, buty wielgachne, a tak ciężkie, że każdy z nich mógł czaszkę niedźwiedzia zgruchotać. Miał też tobół wielki na plecach, z którego przeróżne akcesoria wojenne, grozę budzące, wystawały. Zadrżał Madej, albowiem poznał typ wojaka rzadko pod Babią Górą spotykany, z opowieści mu tylko znany, kursantem zwany. Wojska kursanckie, napastujące ludzi głównie w innych częściach Beskidów, postrach budziły poprzez swoje pojawianie się nie wiadomo skąd, nie wiadomo gdzie i zjadanie wszystkiego, co tylko miało jakąś wartość odżywczą, od rzemyków skórzanych poczynając, a na standardowym kicie górskim kończąc. W dodatku kursanci chodzili zwykle co najmniej parami, jeśli nie w większych grupach. Zaraz też z krzaków wyłoniło się kilku innych osobników. Stanęli zaskoczeni, zaś jeden z nich, odznaczający się długą czarną brodą, spytał: "Azaliż byłby to zbój Madej?".

Próżno Madej zaprzeczał, został rozpoznany. Zaraz też pojmano go i spętano, a nad ranem na posterunek żandarmerii odstawiono. Poniósł więc Madej zasłużoną karę. Zaś oddział kursancki przejął miejsce, gdzie zbój swe nieszczęsne ofiary torturował i tam założono bazę dla turystów, nazywając ją tradycyjnie "Madejowym Łożem"

Od redakcji: Oczywiście baza powstała w całkiem inny sposób i prawdopodobnie w innym nieco czasie historycznym. Kiedy? Tego zapewne najstarsi klubowicze nie pamiętają. Należy także stanowczo zdementować pogłoski, jakoby urządzenia do torturowania pozostałe po Madeju nadal były w użyciu. ■

Dziesięć lat na Madejowym Łożu

Biuletyn SKG nr 13 – zima 1999

Paweł Staniszewski

...a właściwie to już jedenaście, bo Baza Namiotowa "Madejowe Łoże" powstała w 1989 roku, w dolinie potoku Bębeńskiego, koło Podwilka na Orawie.

Autorami idei, aby Studencki Klub Górski (pod egidą Oddziału Uniwersyteckiego PTTK) zorganizował i prowadził bazę namiotową na Orawie, byli Rapsond (Agnieszka Respondek) i Butold (Witek Kowalski). Zresztą nie tylko idei. Gdyby nie ich zapał w pokonywaniu przeciwności losu, biurokracji i innych, figę byśmy mieli a nie bazę. Zapewne aby odreagować walkę z papierami, Butold osobiście wykopał system rowów melioracyjnych. Ich obecność sprawia, że czasami po bazie można chodzić bez gumiaków. Ślady tych rowów, niczym okopów konfederackich, istnieją do dziś. Zastanawiam się, czy nie wpisać ich w rejestr zabytków...

Mało kto dzisiaj pamięta, jak zapadła ostateczna decyzja o lokalizacji bazy: czy rzeczywiście Agnieszka Pacuszka, na widok uroczej polanki, potknęła się i złamała nogę? A może było odwrotnie: Opatrzność, chcąc zwrócić uwagę wycieczki na niebanalne miejsce, zadziałała radykalnie...? W każdym razie, począwszy od lipca 1989 mała, otoczona świerkowym lasem polanka ożywa co roku na dwa letnie miesiące.

Różne środowiska związane z SKG zaznaczyły swoją obecność na Bazie. Godna odnotowania jest grupa młodzieży z Mińska Mazowieckiego. To oni brali czynny udział w akcie stworzenia, choć dziś jedynym widomym znakiem ich działalności jest podupadający wychodek im. Harcerzy Mińskich. Podupadający jedynie w sensie konstrukcyjnym, albowiem zachował swoją niepowtarzalną atmosferę: nigdzie poza Podwilkiem nie widziałem sławojki o zbliżonym standardzie, wyposażonej w ozdobny świecznik, stolik na prasę i w wazonik, zawsze ze świeżymi kwiatami...

Jednym z pierwszych władców Bazy był Tomek Domeradzki, zwany Miśkiem. W bazowanie wkładał całe serce. Pamiętam, jak kiedyś w sposób niestandardowy rozwiązał problem opału niezbędnego w bazowej kuchni. Ludziom we wsi szczęki opadały do ziemi z osłupienia, kiedy wraz z

© http://www.skg.uw.edu.pl

Tomkiem woziliśmy ciągnikiem odpady drzewne z tartaku do lasu...

Lata 1993-94 to lata kryzysu Bazy. Panujący wówczas Zarząd SKG nie widział sensu inwestowania w Bazę; brakowało też zapaleńców, którzy chcieliby się nią poważnie zająć. Pojawił się nawet pomysł, aby przenieść Podwilk w... Bieszczady! Nazwisk autorów tego projektu nie ujawnię. Jeśli ktoś, podobnie jak ja, uważa, że kwalifikują się oni do specjalistycznego leczenia, niechaj zachowa to dla siebie.

Ale oto nastąpił przełomowy rok 1995 i na arenę bazową wkroczył (a może raczej wpełznął...?) nestor SKG, wybitny przewodnik i instruktor, niejaki Wąż Ogłoblin, znany szerzej pod pseudonimem "Wiesław". Raczył otoczyć Bazę łaskawym spojrzeniem, przeciągnął się leniwie i rzekł: "Moja!". Chwała Ci, o Wężu, albowiem to dzięki Tobie Baza istnieje do dziś i ma się całkiem dobrze.

Sponsorzy? O, jest ich całe mnóstwo! Praktycznie każdy, kto odwiedza bazę, coś na niej zostawia: a to łyżkę, a to widelec, a to garnuszek... Pewna dobrze znana w środowisku klubowym firma udzieliła nam rabatu na zakup nowych namiotów. Wysokość rabatu nie upoważnia mnie jednakowoż do umieszczenia w niniejszej publikacji nazwy owej firmy. Dochody z niewielkiego ruchu turystycznego (ostatnio około 130 osób w sezonie) wystarczają jedynie na pokrycie bieżących bazowych wydatków. Wszelkie inwestycje możliwe są jedynie dzięki dotacjom Zarządu Głównego PTTK, któremu należą się gorące podziękowania.

Niestety, ekipa związana na stałe z Madejowym Łożem powoli się starzeje. Czas by poszukać następców... Tylko czy dla pokolenia 20-latków zajmowanie się takim reliktem, jak baza namiotowa, może być atrakcyjne? Może jednak jakiś szaleniec zechce z nami współpracować?

O tym, co obecnie Baza oferuje swoim gościom, o bliższych i dalszych planach, o związkach Bazy z Polskimi Kolejami Państwowymi, o mackach mafii Gałązków, napiszę, jeśli Redakcja pozwoli, przy innej okazji. Tymczasem wszystkich bardzo serdecznie zapraszam do odwiedzenia Podwilka u progu Nowego Tysiąclecia! ■

Na Orawie Wąż brzmi w trawie

Biuletyn SKG nr 16 – lato 2001

Paweł Staniszewski

Szanowna Redakcja poprosiła mnie o napisanie kolejnego artykułu o naszej Bazie Namiotowej Madejowe Łoże w Podwilku, na Orawie. Czynię to z przyjemnością, chociaż już słyszę zewsząd stękania: A po co komu ta baza? Jaki jest sens prowadzenia bazy namiotowej w miejscu rzadko odwiedzanym przez tzw. prawdziwych turystów; w miejscu leżącym z dala od uczęszczanych szlaków, w do-

© http://www.skg.uw.edu.pl

datku w miejscu – co tu kryć – wirtualnie górzystym...? Czy jest sens utrzymywać Bazę, skoro nie przynosi ona Klubowi żadnych korzyści materialnych, a zainteresowanie Klubowiczów tymże obiektem jest bardzo skromne? Czy nie lepiej byłoby zainwestować w jakąś chałupę, która mogłaby skupiać uwagę członków Klubu poza letnim sezonem (wszak w lipcu i w sierpniu, kiedy Baza jest czynna, ludzie rozpierzchają się po wszystkich możliwych kontynentach i nie w głowie im Orawa)?

Otóż faktem jest, że Baza już od co najmniej pięciu lat żyje własnym życiem, z dala od Klubu, zarówno od strony personalnej, jak i finansowej. Istnieje dzięki garstce zapaleńców, którzy w wąskim gronie obsługują ją przez cały sezon. Funkcjonuje dzięki licznej grupie stałych bywalców, którzy nie wyobrażają sobie życia bez spędzenia choćby kilku dni w tym magicznym miejscu. A turyści? Faktycznie bywają tu rzadko. Na niebieskim szlaku wiodącym z Policy na Stare Wierchy nawet w szczycie sezonu trudno spotkać kogokolwiek, a jest to przecież jedyny tranzytowy szlak turystyczny w bezpośrednim sąsiedztwie Podwilka. Przyjmuję też z pokorą zarzut, że Baza momentami przypomina przedszkole, albowiem w istocie zdarza się, że ilość przebywających tu dzieci przewyższa liczbę osób dorosłych. Z drugiej jednak strony nie przypominam sobie sytuacji, w której jakiś zabłąkany turysta narzekałby na brak właściwej takim miejscom atmosfery czy też na nadmiar hałasu pochodzącego z nieletnich strun głosowych. Możliwe zresztą, że wynika to właśnie z faktu tak niskiej frekwencji. Prawdziwi turyści są przez rezydentów wypatrywani z utęsknieniem – a gdy już się pojawią, stają się niebywałą atrakcją i traktowani są jak, nie przymierzając, śmierdzące jajko. Zwykle opuszczają Bazę ukontentowani i z zamiarem powtórnych odwiedzin. Uwaga: zawsze chwalą usytuowanie bazy – jedynego obiektu o tym charakterze położonego między Gorcami a Babią Górą i Policą.

Baza w środowisku turystycznym... jest już znana i ceniona. Należy do Unii Baz i informacja o niej jest dostępna we wszystkich beskidzkich bazach namiotowych. Regularnie bywają u nas obozy i przejścia przewodnickie, między innymi z SKPB Łódź, SKPB Katowice oraz SKPG Gliwice. Z całym szacunkiem dla Zarządu Klubu, którego działalność oceniam – zwłaszcza w ostatnich latach – bardzo wysoko, sądzę, że w wymienionych środowiskach słowa "Studencki Klub Górski" kojarzą się przede wszystkim z miejscem na Orawie, gdzie można się w lecie zatrzymać. Nieskromnie uważam, że Baza, będąca mocno wysuniętą placówką firmowaną przez SKG, jest dobrą wizytówką naszego Klubu.

Nie zmienia to faktu, że prowadzenie Bazy na dotychczasowych warunkach nie jest już możliwe. Miłościwie nam panujący Wąż Ogłoblin ps. Wiesław coraz bardziej stanowczo grozi dymisją. Bez zaangażowania młodych ludzi ściśle związanych z Klubem, Baza albo stanie się półprywatnym ranczem określonego klanu, albo prędzej czy później upadnie. Jedno i drugie nie leży w moim interesie. Liczę na to, że Zarząd Klubu uzna inwestowanie w Bazę za celowe. Ufam, że znajdzie się taki "frajer", który zajmie się Podwilkiem nie dlatego, że będzie musiał, tylko dlatego, że będzie chciał. I że dopóki istnieje w Beskidach, tfu, przepraszam za wyrażenie, "turystyka kwalifikowana", Madejowe Łoże zawsze będzie do dyspozycji włóczykijów.

Ojej, strasznie się patetycznie zrobiło...

Może zatem teraz trochę informacji dla osób, które w Podwilku jeszcze nie były, a chciałyby go odwiedzić. Otóż standard świadczonych usług jest uzależniony od pogody. Jeżeli nie pada – jest bardzo wysoki. Jeżeli pada, czyli praktycznie zawsze, na jego istotne obniżenie wpływa kondycja namiotów typu NS – ale na mięczaków czekają luksusowe i nieprzeciekające Marabuty. Do dyspozycji jest obszerna wiata z kuchnią turystyczną, która działa lepiej niż wygląda (kuchnia, a nie wiata). Jest prysznic z

© http://www.skg.uw.edu.pl

gorącą wodą (!), a dla twardzieli – spiętrzony potoczek, w którym przy odrobinie wysiłku można czasem przepłynąć ze trzy metry, nie obijając się kolanami o dno. Jest pełnowymiarowe boisko do badmintona; mistrzostwa Bazy rozgrywane bywają pod czujnym okiem profesjonalisty – stałego bywalca. Jest plac zabaw z piaskownicą i huśtawkami, okupowany przez bazowiczów w wieku od 0 do 70 lat. Są grzyby, jagody i maliny (ale tylko na zasadzie samoobsługi). Są możliwości ciekawych wycieczek: w pasmo Policy, w Działy Orawskie (Pająków Wierch, Wielki Dział...), na Babią Górę (w jeden dzień pieszo tam i z powrotem trasa dość forsowna) oraz na słynne orawskie torfowiska. Dla miłośników zabytków – kościół w Orawce – jeden z najpiękniejszych na polskim Podtatrzu, skansen w Zubrzycy i wiele innych. Zapraszam! Pierwsza okazja – to rozbijanie Bazy 30 czerwca – pomoc mile widziana.

A może jakieś anegdotki bazowe?

Marta jest nieustępliwa. No dobrze, niech będzie. To zdarzenie spotkało mnie osobiście. Trzeba Wam wiedzieć, że koło Bazy przebiega gruntowa droga wiodąca z orawskiego Podwilka w las, a dalej przez grzbiet Beskidu "do Polski", do Sidziny. Do Podwilka jest z Bazy równe półtora kilometra, do Sidziny – co najmniej sześć. I otóż tą drogą, w pewien ciepły wieczór, od strony Sidziny zbliża się ku mnie z wolna postać, dla której szerokość drogi, wynosząca ze cztery metry, jest dalece niewystarczająca. Facet o sponiewieranym wyglądzie zatrzymuje się na mój widok i pyta znękanym głosem:

– Panie... a do Sidziny... to tędy?
– W zasadzie tak – odpowiadam – ale w przeciwną stronę raczej...
– Uuuu... – facet podrapał się z troską w czerep. Nagle ujrzał w dali zabudowania. A ta wieś... o tam... to co? – spytał z nadzieją w głosie.
– Podwilk – odpowiadam zgodnie z prawdą. Facet syknął boleśnie i zastanowił się chwilę. – Aaa, tyz moze być... – machnął w końcu ręką i zrezygnowany powędrował dalej... Na zakończenie cytat sezonu 2000. Pcheła (były Prezes SKG!) do swojej dwuletniej, wychowanej w cywilizowanej Holandii córki, skamieniałej z podziwu na widok ogniska: – To jest taka mikrofala, tylko nie robi pik, pik... ■

20 lat minęło...

W roku 2009 nasza ukochana Baza w Podwilku przestała być nastolatką. Świętowaliśmy tą okrągłą rocznicę 7 czerwca 2009 roku na Polanie Jakubów w Izabelinie. Pojawiły się wśród nas obecni, przeszli i przyszli miłośnicy Bazy Namiotowej „Madejowe Łoże", żywe legendy (w tym założyciele bezy Rapsond i Butold) i nowicjusze. Była to niepowtarzalna okazja do spotkania przyjaciół z dawnych lat.

Organizatorzy przygotowali konkursy (wiedzy i sprawnościowy) oraz pokaz slajdów, dzięki któremu zakręciła się niejedna łza. Była także możliwość wejścia w posiadanie niepowtarzalnej koszulki okolicznościowej. ■

25 lat za nami...

29. numer Biuletynu SKG

Paweł Staniszewski

Pamiętam to bardzo dokładnie – kiedy to było? Przedwczoraj? Tydzień temu?... Lipiec 1989 roku... Swój „dyplomowy" obóz wędrowny kończyłem na Bazie Namiotowej w Podwilku. Nie byłem tam wcześniej, pierwsze w historii rozbijanie Bazy mi jakoś umknęło. Czy mogłem wówczas przypuszczać, że 25 lat później – jako opiekun Bazy i chorobliwie uzależniony bywalec – będę pisał o jej tak okrągłym jubileuszu? Niemożliwe! Przecież – jak mawiał (znany starszym Klubowiczom) Łaskawca – „ludzie tak długo nie żyją!". A jednak... Minęło jak z bicza strzelił... Były liczne kryzysy i dyskusje dotyczące istoty prowadzenia Bazy przez SKG – a Baza żyje... Pojawiała się krytyka kontrowersyjnej dla niektórych lokalizacji („dlaczego nie w Bieszczadach?") – a Baza żyje... Turystyka kwalifikowana w Beskidach zdycha – a Baza żyje... „Nadbazowy" się starzeje – a Baza żyje i jest wciąż młoda...

Na obchodach

Obchody jubileuszu 25-lecia Bazy rozpoczęły się już przed sezonem, 24 maja. Na obrzeżach Puszczy Kampinoskiej, na Polanie Opaleń, zorganizowaliśmy uroczyste ognisko. Uczciwie mówiąc, to nie „śmy", tylko Karusia jednoosobowo... W każdym razie była moc atrakcji, konkursy z nagrodami, pokaz slajdów z dawnych lat, a przede wszystkim – pojawiło się mnóstwo osób związanych z Podwilkiem. Nie sposób wymienić wszystkich, ale muszę wspomnieć przynajmniej o Szanownych Założycielach Bazy – Butoldzie i Rapsondku, a także o wieloletnim Nadbazowym – Wężu „Wiesławie" O. Pojawił się nawet legendarny Bogdan B. (dawniej znany jako BBJ) – postrach kursantów z czasów, których nawet ja nie pamiętam.

© http://www.skg.uw.edu.pl

A potem – jak zwykle w ostatni weekend czerwca – rozpoczął się kolejny sezon. Wbrew wszelkiej logice Baza funkcjonuje coraz lepiej – od wielu lat obserwujemy coraz większą frekwencję, nie tylko stałych bywalców, ale także indywidualnych wędrownych turystów i zorganizowanych grup. Nie zamierzam tu zamieszczać szczegółowej statystyki, wspomnę tylko, że jubileuszowy sezon okazał się kolejnym rekordowym – przekroczyliśmy magiczną liczbę 300 gości! Jednocześnie na Bazie było w pewnym momencie ponad 60 osób! Mimo takiego tłumu wszystko świetnie funkcjonowało, a jedynym problemem były zapisy na trzeci kwartał w kolejce do wiadomego miejsca... Aż się boję, co będzie w przyszłym roku... W ciągu ostatnich kilku lat na Bazie zaszło sporo zmian. Nowe NS-y mają kolor, który w założeniu prawdopodobnie miał być ochronny, w rzeczywistości przypomina... nie, nie będę pisał, co przypomina – skojarzenia bywają dość osobliwe. Kto ciekaw, niech sprawdzi. Wiata, wielokrotnie remontowana, zachowała tylko (aż?...) jedną ścianę, będącą reliktem konstrukcji z 1989 roku (nota bene, stoczyłem o jej pozostawienie krwawą batalię z głównym konstruktorem, Tomkiem Z.). Najbardziej spektakularną rewolucją było zrezygnowanie z corocznego rytuału kopania dołu na śmieci i zastąpieniu go prozaicznym, pozbawionym romantyzmu, ale nader praktycznym plastikowym kontenerem, sukcesywnie opróżnianym przez firmę z Jabłonki. Kopanie dołu na śmieci od wielu lat było czynnością zarezerwowaną dla Prezesa Klubu – zatem proszę, jacy jesteśmy genialni! Przewidzieliśmy, że Prezesem wkrótce będzie kobieta...

Nowoczesność nowoczesnością, ale staramy się jednak kultywować tradycję. Podczas jednego z poważnych remontów wiaty, nie skorzystaliśmy – być może pochopnie – z oferty pobłażliwie obserwującego nasze poczynania pana Ludwika: „Ja bym wam tu taki pikny domek z pustacków postawił!...”

Pewne elementy krajobrazu Bazy są na szczęście stałe. Niezmiennie przyjeżdża na Bazę pan Janusz, nadal funkcjonuje boisko do badmintona, a pod wiatą kwitnie hazard... Niezmienne są także wschody księżyca w pełni, obserwowane z bardzo szczególnego miejsca... Niezmienna jest rywalizacja o prymat króla grzybobrania – na przełomie lipca i sierpnia z udziałem Helmutha, a pod koniec sierpnia – Beaty i Jurka... Niezmienny jest brak rywalizacji, kto zbierze najwięcej malin, w tym bowiem zakresie Żyrafa nie ma konkurentów. Również poranny wyścig do pieca (kto pierwszy rozpali?) od lat nie ma większego sensu, bo wiadomo, że wygra Marek...

Oj, trochę się zagalopowałem – przecież to, co napisałem przed chwilą, jest kompletnie niezrozumiałe dla osób, które jeszcze w Podwilku nie były... No to przyjedźcie! Skosztujcie tego specyficznego klimatu, który jednych zaraża i uzależnia, a inni nie mogą pojąć, czym się ta banda świrów zachwyca i zastanawiają się, co też można robić w takim miejscu dłużej niż kilka godzin. Mam nadzieję, że dołączycie do tych pierwszych. ■

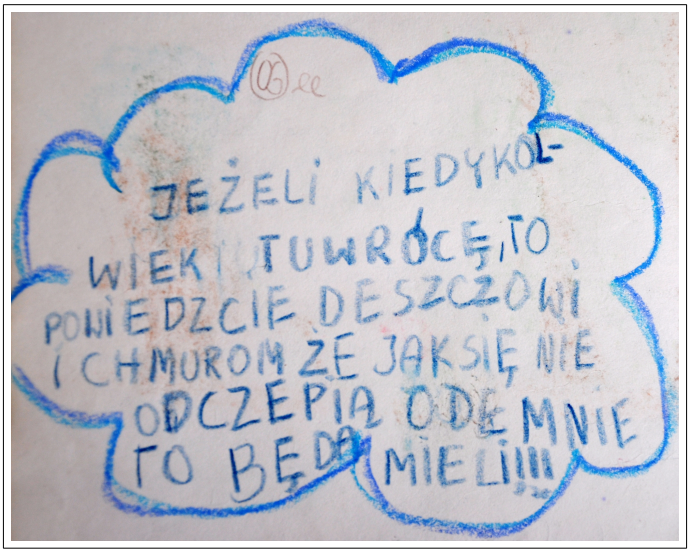

© http://www.skg.uw.edu.pl

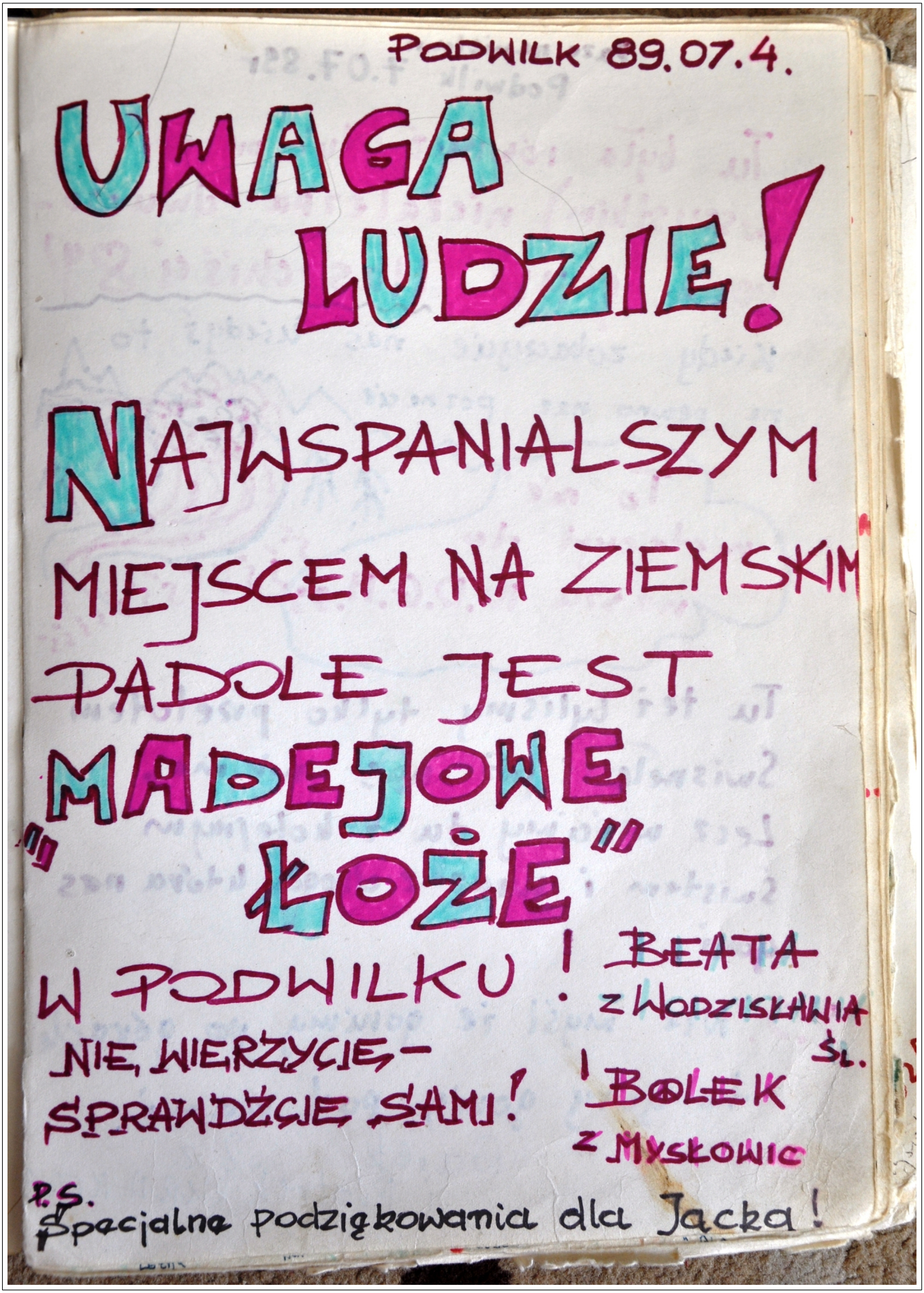

© http://www.skg.uw.edu.pl